№ 12. Warszawa, dnia 8 (20) Marca 1875 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Od Redakcyi.

Z końcem ubiegającego Kwartału pierwszego w roku bieżącym, Redakcya ma zaszczyt oświadczyć, iż najpewniejszym środkiem odbierania Tygodnika bez żadnej przerwy, jest nadsyłanie należytości prenumeracyjnej wprost do Redakcyi, z adresem wyraźnie wypisanym. Pismo nasze dla uchronienia go od zniszczenia, przesyłamy w opaskach stanowiących koperty otwarte, gdyż zaklejania ich przepisy obowiązujące nie dozwalają.

Prenumerata wynosi:

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80**

na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . **rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . . . **rs. 5 — —**
Rocznie . . . . . **rs. 10.**

Adres: Do **J. K. Gregorowicza,** Redaktora Tygodnika Mód i Powieści, i Przyjaciela dzieci w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956.

Z DZIEDZINY NAUKOWEJ.

ŚWIATŁO I ŻYCIE.

PRZEZ

J. B.

Istota organiczna jaką dostrzegamy na powierzchni kuli ziemskiej, nie żyje samą jedynie żywnością jaką spożywa, już to pod postacią pokarmów, już też w postaci powietrza atmosferycznego, potrzebuje jeszcze ciepła, elektryczności i światła. Organa jej podlegają podwójnemu wpływowi, środka wewnętrznego przedstawionego przez humory otaczające jej tkanki, i środka zewnętrznego, złożonego ze wszystkich subtelnych i ruchomych czynników, zapełniających przestrzeń. Ta ścisła solidarność istot i środków w jakich pozostają, tak jest widoczną iż zupełnie zapoznaną być nie mogła, ale z drugiej strony znów zbyt zawikłaną aby umiała ją rozjaśnić nauka zaledwie powstająca, i dla tego dopiero obecnie poddaną była ścisłym i metodycznym badaniom, które wydały bardzo ciekawe rezultata.

Nader zajmujące pole do podobnych badań przedstawia światło; podajemy tu w streszczeniu najnowsze nad niem dochodzenia naukowe, zebrane i przedstawione przez znanego uczonego p. Fernanda Papillon, tego znakomitego popularyzatora nauki, którego nagła śmierć przedwcześnie wydarła Francyi.

Czy to rozważamy istnienie organiczne w jego najprostszym stopniu i najsłabszym objawie, czy w najwznioślejszych i najwięcej skomplikowanych jego funkcyach, wpływ światła odbija się tu w stosunku równie szczególnym jak nieprzewidzianym; tak piękne formy jak i najmocniejsze barwy, ukryte harmonje życia jak świetny jego rozwój i kwitnienie, zostają w tajemniczem pokrewieństwie z ową złotą parą jaką słońce roztacza nad światem.

Pod tym względem nauka tegoroczna usprawiedliwia naiwną adoracyę i cześć jaką pierwotny człowiek otaczał słońce; tłomaczy przerażenie ogarniające ludy zostające jeszcze w dzieciństwie, na widok znikania z horyzontu owej świetnej gwiazdy dziennej, będącej dla nich wyrażeniem wszechpotęgi i wspaniałości. To ubóstwianie słońca nie było jedynie oznaką wdzięczności za dobrodziejstwa i płodność jaką słońce wzbogaca ziemię, był to zarazem hołd składany temu źródłu pociechy, światła i radości, był to symptom przyrodzonego spowinowacenia między człowiekiem a światłem. Księgi Weda i inne pomniki pierwszych religii, pełne są tego uczucia objawiającego się także u wielu poetów i filozofów starożytnych. Nieśmiertelny Dante kończy swój poemat hymnem będącym symboliczną apologją wiekuistego światła. Doktorzy, rolnicy, ogrodnicy, jednozgodnie przyznają dobroczynne skutki światła. Przyrodnicy, podróżnicy i uczeni różnych epok, zwracali uwagę na silne działanie i rozmaite wpływy słońca. A jednak ten przedmiot tak nadający się do rozlicznych badań, dopiero w połowie XVIII wieku podany został poważnym doświadczeniom, ale rozległe to i zawiłe zadanie, tak wiele przedstawia trudności, że dotąd częściowo tylko rozwiązane zostało, i liczne próżnie jeszcze zapełnić potrzeba. Przedstawimy po krótce otrzymane dotąd rezultata, odnośnie do działania światła na rośliny, zwierzęta i ludzi.

Rośliny żywią się wchłaniając z gruntu przez korzenie pewne substancye, i rozkładając za pomocą swych zielonych części gaz węglany zawarty w atmosferze. Gaz ten rozkładają na węgiel który assymilują i na kwasoród który wyrzucają; otóż fenomen ten czyli oddychanie roślin nie mogłoby mieć miejsca bez współudziału światła słonecznego. Współudział ten sprawdził pierwszy raz dokładnie Karol Bounet z Genewy, w połowie XVIII wieku. Spostrzegł on, że w jakiemkolwiek położeniu nasienie rzucone zostało w ziemię, rośliny wyrastają zawsze prostopadle, zmierzając ku słońcu; wykazał także iż w ogóle w miej-

scach ciemnych, rośliny zawsze zwracają się w stronę z której dochodzi światło. Doszedł i tego jeszcze, że rośliny zanurzone w wodzie, pod wpływem słońca wytwarzają pęcherzyki gazu.

W roku 1771. Priestley, sławny uczony angielski któremu niedawno w rodzinnem mieście wystawiono pomnik, inne jeszcze zrobił doświadczenie. Zapalił świecę w zamkniętej przestrzeni i trzymał ją tam dopóki nie zgasła, skutkiem że niewłaściwe powietrze nie dopuszczało palenia; wtedy umieścił w tejże przestrzeni zielone części świeżej rośliny i po upływie dni dziesięciu, powietrze oczyściło się do tego stopnia, że mógł zapalić świecę. Doświadczenie to wykazało że w miejsce gazu zniweczonego paleniem, rośliny wydają z siebie gaz palny; jednak uczony ten przekonał się także, iż niekiedy miewa miejsce fenomen zupełnie przeciwny. W dziesięć lat później, lekarz holenderski, Jugenhouse, wytłomaczył tę pozorną sprzeczność. Dostrzegł on że rośliny nietylko mają własność oczyszczania zepsutego powietrza w przeciągu dni kilku, jak to zaobserwował Priestley, ale nawet że spełniają ważne to zadanie jak najzupełniej w przeciągu kilku godzin: że czynność ta nie jest wynikiem działania roślin ale skutkiem wpływu światła słonecznego na rośliny, że rozpoczyna się dopiero w jakiś czas po wzniesieniu się słońca na horyzoncie, a ustaje całkiem podczas ciemności nocnej: że rośliny zacienione przez wysokie budynki lub inne rośliny, nietylko nie oczyszczają powietrza, ale wyziewają złe powietrze i w otaczającem roztaczają truciznę; że wytwarzanie się dobrego powietrza ku końcowi dnia słabnie, a po zachodzie słońca zupełnie ustaje; że wszystkie rośliny psują w nocy otaczające je powietrze, a odczyszczaniem go zajmują się tylko liście i zielone gałązki.

Oto rezultaty doświadczeń holenderskiego doktora; lecz dopiero Senebier, współziomek Karola Bounet wykazał w jaki sposób odbywa się ta zamiana powietrza nieczystego na czyste pod wpływem słońca, kiedy przeciwnie w ciemności ma miejsce fenomen zupełnie przeciwny. Zastosował on do tego zadania świeże odkrycia Laivoisier'a i wykazał że owo nieczyste powietrze wchłonięte i rozłożone we dnie przez rośliny, jest to kwas węglany wytworzony oddychaniem roślin, a czyste powstałe z tego rozkładu, jest to kwasoród. Dowiódł nadto że gaz jaki rośliny wydzielają w nocy, jest to także kwas węglany, a zatem dzienne ich oddychanie jest wprost przeciwne nocnemu; oraz że ciepło nie może tu zastąpić światła.

Tym sposobem wytłomaczył naturę fenomenu, ale należało jeszcze przekonać się jaki zachodzi stosunek między objętością pochłanianego kwasu węglanego, a objętością wydychanego kwasorodu. Zadanie to spełnił Teodor de Saussure, wykazując że objętość wydzielonego kwasorodu niższą jest od ilości wchłonionego kwasu węglanego, zaś część kwasorodu pozostałego w roślinie, zastępuje wyzioniety azot. Wnioskował on że azot ten powstawał z substancyi samejże rośliny.

Ta funkcya zielonych części roślin spełnia się nadzwyczaj szybko i energicznie. P. Boussingault, napełnił naczynie szklanne liśćmi winnemi, postawił na słońcu i przeprowadził przez nie prąd kwasu węglanego; po skończeniu tego doświadczenia otrzymał czysty kwasoród. Obliczono że jeden liść lilji wodnej, wydziela z siebie w ciągu lata około 300 litrów (kwart) kwasorodu.

W roku 1848 pp. Cloëz i Gratiolet przedstawili nowe fakta, a mianowicie że rośliny wodne, we dnie zachowują się jak inne, ale w nocy są bezczynne i zupełnie nie wydzielają z siebie kwasu węglanego, oraz wykazali energiczną natychmiastowość działalności słonecznej na oddychanie roślin. Umieściwszy kilka liści *potamogetonu* (kłos wodny) w naczyniu napełnionem wodą nasyconą kwasem węglanym, i wystawiwszy je na słońce, zobaczy się zaraz że z powierzchni liści wydobywa się niezliczona ilość czystego prawie zupełnie kwasorodu, lecz niech choćby najmniejsza chmurka przesunie się w atmosferze, wydzielanie gazu zaraz się zmniejsza, i dopiero po jej przejściu znów równie szybko jak pierwej się odbywa. Zastawiwszy ekramem światło słoneczne, widać wyraźnie jak pęcherzyki gazowe wydobywają się już to prędko już powoli, w miarę jak promienie słoneczne dochodzą, lub nie dochodzą do rośliny. Rośliny wodne inne jeszcze przedstawiają właściwości. Światło rozpierzchłe nie powoduje w nich rozkładu kwasu węglanego, chyba że fenomen ten został uprzednio spowodowany prostopadłem światłem słonecznem; a nadto gdy raz wytworzy się działanie wpływu słonecznego, redukcya kwasu węglanego nie ustaje nawet w ciemności, i roślina oddycha w nocy tak samo jak we dnie. Zatem, jak to powiedział Van Tieghem, który pierwszy wykrył tę ciekawą właściwość żywej siły światła słonecznego, może ono ustalać się i nagromadzać w roślinach, aby następnie działać w zupełnej ciemności, wyczerpując się powoli i zamieniając w odpowiednią pracę chemiczną. Osiada również w siarczykach *świecących* aby później objawić się w postaci mniej silnego promieniowania, jakoteż w papierze, w mączkach i porcelanie, aby nieco prędzej czy później, ujawnić się swem działaniem na solach srebra. Tak więc właściwość jaką posiadają zielone komórki roślinne, nie im samym wyłącznie służy; jest to tylko jeden z objawów tej ogólnej własności nieodłącznej od wielu ciał, że zatrzymują w swej massie pod nieznaną formą, część drgań ubocznych i zachowują je przekształcając, aby wydobyć później już to w stanie świetlnego promieniowania, już pracy chemicznej lub mechanicznej. A tak wielka zasada przemiany sił sprawdza się w królestwie roślinnem.

Dotąd zastanawialiśmy się tylko nad działalnością światła białego, wynikającego z ogółu promieni jakie nam słońce wysełą; jednak światło to nie jest proste, ale składa się z wielkiej liczby promieni których barwa i własności są zupełnie odmienne. Rozłożywszy światło białe przez pryzmę, otrzymamy siedm wiązek promieni widomych, nierówno łamliwych, czerwoną, pomarańczową, żółtą, zieloną, błękitną, niebieską, fioletową. Tak otrzymana taśma kolorowa zowie się widmem słonecznem. Widmo to przedłuża się i rozciąga przez promienie niewidome (niesposobne do sprawienia wrażeń na oko). Po za czerwonemi promieniami istnieją promienie ciepłe, po za fioletowemi promienie tak zwane chemiczne, czyli *po za fioletowe* Pierwsze oddziaływają na termometr, drugie wywołują energiczne reakcye w związkach chemicznych. Należało jeszcze zbadać jaki jest wpływ ich na roślinność: czy światło złożone oddziaływa na nie przez swoje promienie kolorowe, czy przez ciepłe lub chemiczne.

Badanie to podjęło wielu uczonych, a mimo to nie jest może jeszcze stanowczo rozwiązane.

W roku 1836, Daubeny pierwszy umieścił tak rośliny aby oddychały pod szkłami kolorowemi, i przekonał się, że ilość wydzielanego kwasorodu mniejsza jest pod promieniami kolorowemi, niż w świetle białem. Zdawało mu się, że najsilniejsze są promienie pomarańczowe, a po nich niebieskie. W kilka lat później p. Draper, autor znakomitej *Historyi intelektualnego rozwoju Europy* a dziś profesor uniwersytetu w Nowym Yorku, rozpoczął dokładniejsze jeszcze doświadczenie. Pokładł po trochu trawy w rurki napełnione wodą nasyconą gazem węglanym, i wystawił je na różne promienie widma słonecznego. Mierząc potem ilość kwasorodu wydobytego w każdym z tych małych przyrządów przekonał się, że największa objętość gazu wydzieliła się w rurkach wystawionych na światło żółte i zielone, a po niem na pomarańczowe i czerwone. Nieco później w r. 1848 pp. Cloez i Gratiolet sprawdzili, że światło daleko silniej oddziaływa na rośliny, jeźli przechodzi przez szkło matowe, niż przez przezroczyste. P. Julijusz Sachs, powziął myśl zmierzenia stopnia siły działalności światła na rośliny wodne, przez obliczenie liczby pęcherzyków gazowych, wydzielających się z odciętej gałązki wystawionej na słońce, w wodzie nasyconej kwasem węglowym. Przekonał się tedy, że pęcherzyki powstałe pod wpływem światła pomarańczowego, dorównywają wydzielonym pod światłem białem, zaś gałązki poddane pod światło niebieskie, wytwarzają ich prawie dwadzieścia razy mniejszą ilość. Doświadczenia te są stanowcze; ani promienie chemiczne ani promienie ciepłe wiązki słonecznej nie oddziaływają na rośliny, i własność tę posiadają same promienie świetlne, a głównie żółte i pomarańczowe.

Nie poprzestając na tych rezultatach, znakomity botanik p. Prillieur przedsiewziął szereg nowych doświadczeń z zupełnie innego wychodząc stanowiska. Opierając się na tem, że rozmaite promienie kolorowe równie mocne mają światło, i że promienie najsilniej oddziaływające na rośliny są właśnie najświetlniejsze, chciał sprawdzić jaki wpływ mogą wywierać na rośliny światła różnej barwy ale jednakiej mocy, oraz czy wpływ ten zmienia się odnośnie do koloru lub pozostaje niezmienny w razie równej siły światła. Po długich i sumiennych badaniach doszedł do wniosku, że różne kolory światła oddziaływają w równym stopniu na zielone części rośliny, i powodują równe wydzielanie się gazu *odnośnie do jednakiej mocy światła.*

To umiłowanie światła przez rośliny, światła które jest niezbędnym bytu ich warunkiem, objawia się przez inne jeszcze ciekawe fenomena, wykazujące iż promienie słoneczne są rzeczywiście ich czynnikiem zabarwiającym. Korony kwiatowe roślin rosnących na wielkich wysokościach, mają barwy daleko żywsze niż rosnące na nizinach, gdyż promienie słoneczne łatwiej przedzierają się przez atmosferę pogodną w jakiej kąpią się wysokich gór szczyty. W ogólności roślinność miejscowości odkrytych i dobrze oświetlonych, odznacza się większem bogactwem barw i rozmiarów, niż w strefach mało dostępnych słońcu. Wiele kwiatów, z początku zupełnie białych, zabarwiają się przez bezpośrednie działanie światła. Zabarwienie owoców odbywa się zarówno pod dobroczynnym wpływem światła; światło oddziaływa także na smak i woń różnych części rośliny.

Tak więc, kwiaty, liście i owoce powstają za pomocą drgań świetlnych; w ich tkance są promienie słoneczne. Światło zatem jest twórcą tych barw prześlicznych, upajających woni, wybornego smaku, słowem wszelkich niewinnych rozkoszy jakich dostarcza nam królestwo roślinne. Nie zgłębiliśmy jeszcze sposobów jakimi odbywają się cudowne te czynności, ale i to już wiele że poznaliśmy pierwsze prawa i mamy jasne pojęcie o tych wspaniałych zjawiskach.

(d. c. n.)

DO DZIEWCZĘCIA.

Nie wierz ty dziewczę, co ludzie prawią,
Że młodość grzeszy marząc rozkosznie,
Że takie złudy serce pokrwawią,
Że spokój strują w twej życia wiośnie.

O nie wierz ludziom! To skarb jedyny,
Którego tobie anioł zazdrości,
Bo cudnych marzeń młodej dziewczyny,
On znać nie może, mimo świętości.

Wiem, że ci ludzie powiedzą pewnie,
Że wszystko złudą jest na tym świecie,
Że piosnkę, co ją snujesz tak rzewnie,
Wicher zagłuszy; nie wierz im przecie!

Oni nie wiedzą, że młodość silna,
Potęgą swoją i los pokona,
Że wiarą swoją jest nieomylna,
Kiedy marzenie tuli do łona.

Nie wierz im dziewczę! Ten skarb twój drogi,
Powiedzie ciebie w czarowne światy
W cudnych pałaców z kryształu progi,
Drogą usłaną rajskiemi kwiaty!

A kiedy zimne starości dłonie,
Obejmą ciebie uściskiem z lodu,
Wtedy z poddaniem pochylisz skronie,
Dziękując Bogu, żeś śniła z młodu.

Przesława.

KLIN KLINEM.

NOWELLA

PRZEZ

J. J. KRASZEWSKIEGO.

Similia similibus curantur.

(Ciąg dalszy).

W całem miasteczku nie było mowy we dwa dni potem, tylko o pani Fanteckiej, która od męża uciekła. Widziano ją na mszy u Bernadynów, drudzy utrzymywali że była z Rumińską w katedrze, inni że już jeździła do ks. Biskupa, i że tam nie została przyjętą. Młodzież szeptała o Bernardzie iż cichaczem przysunął się za swoim bóstwem i najął sobie mieszkanie przy małej Berdyczowskiej ulicy. Inni mówili nadto że sam Fantecki już był nazajutrz po przybyciu żony do Żytomierza i koło katedry.

Ponieważ wiedziano o przyjaźni jaka łączyła pana Grzybowicza z wdówką, u której mieszkała pani Seweryna, dopytywano jego o szczegóły—ale prawnik milczał ramionami ruszając... nie wiedział lub utrzymywał że o niczem nie był uwiadomiony. Dopiero ta jego ostrożność nadzwyczajna aby się żadnem słowem nie zdradzić, niektórym na myśl przywiodła—iż Grzybowicz był zdawna przyjacielem od serca — Fanteckiego.

Okoliczność ta o której pani Rumińska nie wiedziała wcale, tłomaczyła całe postępowanie prawnika.

Trzeciego dnia, gdy wybiegawszy się po sądach i kancelaryach, pan Zacharyasz do mieszkania swojego powracał o mroku — w progu zszedł się z przyjacielem Fanteckim.

— Trzeci raz jestem u ciebie — zawołał głosem znużonym przybyły — nie chciałem ani biletu ani nazwiska zostawić, bo nie życzę sobie aby głoszono żem tu przybył... Wiesz o mojem nieszczęściu?

Grzybowicz za rękę go ścisnął.

— Wiem — odparł— ale chodźmy no do środka. I wprowadził gościa do swojego skromnego apartamenciku który jak na kawalerski—bardzo mile choć skromnie wyglądał.

Śmiano się z Grzybowicza że był przesadzenie porządny, że pedancko strzegł się pyłu i nieładu, że u niego każda rzecz miała miejsce wyznaczone,—pozwalał się wyśmiewać, lecz trybu nie zmieniał. Siedli, a Fantecki otarł pot z czoła i westchnął.

Grzybowicz stał przed nim.

— Oszczędź sobie mój drogi połowy opowiadania— rzekł—żona twoja mieszka u swej przyjaciołki Rumińskiej i ja—wiem już z jednej strony wszystko.

— To tak jak gdybyś nic nie wiedział—z pewnego rodzaju spokojem odezwał się Fantecki — posłuchaj—przyszłem do ciebie po radę.

Znasz mnie prawie od dzieciństwa — siedzieliśmy w szkole na jednej ławie, spotykałeś mnie w życiu— znasz mój charakter, moje wady i — jeźli mam, jaką niezłą stronę. Sądź.

Wiesz żem w walce z sobą wyrobił sobie stałe zasady od których nie odstępuję — pedant jestem, mówią ludzie, być może—ale chcę być logicznym. Raz w życiu niepokierowałem się logiką i za to pokutuję... Przetrwałem na wsi około gospodarstwa, z książkami, na osobności pierwszą młodość moją. Stęskniło mi się, byłem sam, serce dopomniało się o prawa swoje. Pomimo zajęć jakie sobie tworzyłem — życie stawało się nieznośnem. Wyjechałem do Warszawy w celach czysto gospodarskich... chciałem się też rozeznać nieco i życia zaczerpnąć. Tu spotkałem się z dawnym znajomym rodziców moich jeszcze z Radcą Radeckim.

U niego poznałem sierotę będącą na jego opiece. Nadzwyczajna jej piękność mnie uderzyła. Nawiasowo spytałem o nią. Radecki mi opowiedział historyą tej pupilki, która mu nieco ciążyła. Dobre dziecko— rzekł — ale zepsute przez Ojca, który życie dla niej poświęcił i przyszłość jej uczynił trudną. Takie to śliczne a takie nieszczęśliwe! Dogadzamy jej jak sierocie, a oczy wypłakuje. Poszedłszy za uczciwego, dobrego i rozumnego człowieka, mogłaby się stać miłą i zacną kobietą, ale nad tem popracowaćby potrzeba.

Twarzyczka i historya pociągnęły mnie, pomyślałem sobie, że poświęciwszy się jej, ukochawszy ją, miałbym towarzyszkę, która mnie wszystko będąc winną, przywiązałaby się do mnie.

Powziąłem myśl szaloną starania się o nią. Zostałem w Warszawie... Radecki mnie jak najmocniej popierał.

Już wśród tego starania się o Sewerynę, łatwo mogłem się obeznać z jej charakterem—postrzegłem że zadanie ułagodzenia tej istoty było trudne, a może nad siły moje—ale—zakochałem się jak stary kawaler. Zapomniałem o wszystkiem.

Końcem tej historyi było żem się ożenił, że dwa z górą lata się męczę, że w końcu młokos się jej podobał i z domu mi uciekła.. Com wycierpiał—nie wypowiem. Powiedziała sobie żem tyran, kat... i od tego odstąpić nie chciała.

Tu Fantecki ręce załamał.

— A ja ją kocham! zawołał — a mnie jej żal... a ja rozdziału tego nie przeżyję...

Oparł się na stole i zamilkł...

— Wszystko to z ust twej żony na inny sposób opowiadane słyszałem—rzekł gospodarz—ale—jak skoro się w to wmieszał młokos, jak ty go nazywasz — nie widzę innego wyjścia dla ciebie — tylko rozwód i uwolnienie się.

— Ale ja ją kocham! powtórzył Fantecki zrywając się. mnie jej żal... ten młokos się z nią nie ożeni, i ta kobieta zginie.

— Ale jakże ją uratować możemy, kiedy ona sama nie chce być uratowaną...

Zamilkli oba—Grzybowicz chodził po pokoju.

— Znasz Bernarda? zapytał.

— Naturalnie, na nieszczęście za długo dozwalałem mu wstępu do mojego domu—znam go —miałem czas mu się przypatrzeć zbliska. Jest młody w tem się mieści wszystko.

— I to go ocalić może—dodał Grzybowicz—zależy od matki, a matka na to ożenienie nie pozwoli. Ona nie ma nic, lub tak jak nic.

— Tak jak nic—powtórzył Fantecki.

— A jak jemu matka nic nie da—cóż poczną?

— Ale skandal.

— Co się miało stać—stało się—skandal spełniony. Ludzie się więcej pewnie domyślają niż jest. Chceszże na rozwód nie dozwolić i myślisz ją wziąść na powrót? mówił Grzybowicz.

Na to pytanie odpowiedzi nie dostał.

— Kobiety mi żal — kocham ją! mruknął Fantecki—przychodzę do ciebie po radę, nie jestem dosyć przytomny abym sam dziś wiedział co począć.

— Przyznam ci się—odparł adwokat, że wypadek dla mnie jest tak nowym że ja wcale się wśród niego rozliczyć nie umiem, jak wypada postąpić. Czekajmy może okoliczności.....

— Tak — przerwał mąż — a tymczasem Bernard który tu już siedzi po całych dniach u Rumińskiej, jest z nią i ta miłość nieszczęsna rozwija się i rośnie.

— Zdaje mi się że już nawet tak wyrosła — iż o jej pohamowaniu mowy być nie może... Kochany Fantecki należy wyrzec się żony — będziesz swobodnym. Wystaw sobie życie z nią późniejsze... to męczarnia.

— Mój drogi — wtrącił Fantecki — zgadzam się z tobą—wyrzeknę się jej—dobrze—lecz niechże będzie szczęśliwą... niech się ożeni z nią ten którego tak kocha... Przestałem być mężem, uczciwość każe zachować obowiązki opiekuna.

— O ile one spełnić się dadzą...

Narada tak rozpoczęta, trwała długo w noc, Fantecki wyszedł wreście smutny i milczący do swojego mieszkania.

Ostatniem słowem jego było, iż nie wyjedzie z miasta i na straży pozostanie. Uprosił też Grzybowicza, aby kobiecie tej (tak ją nazywał), gdyby była w potrzebie—niby od siebie dał pomoc wszelką, którą on mu natychmiast powróci.

Prawnik wzruszony był tą miłością cichą, spokojną, na pozór chłodną, odepchniętą z pogardą, a gotową do nieuznanych poświęceń. Dla Fanteckiego postanowił zatrzymać w opiece jego żonę i działać tak, aby nie dać ją pokrzywdzić, oszczędzić jej przykrości na jakie się sama narażała. Jego zaś namówił do powrotu.

Nazajutrz bardzo rano, zadzwoniono do jego dworku przy ulicy Wilskiej, gdy się właśnie do miasta wybierał. Otworzył sam drzwi i zobaczył w nich pana Bernarda, uśmiechniętego smutnie i napierającego się wnijść. Mało znali się z sobą.

— Przepraszam pana mecenasa, odezwał się Zmiński, wchodząc — ale mogę go prosić o pół godzinki czasu?

— Jestem na usługi.

— Pan się łatwo domyśla co mnie do niego sprowadza... Pani Fantecka mówiła mi, żeś był łaskaw podjąć się prowadzenia jej sprawy. Ta sprawa moją jest zarazem. Przyszedłem podziękować i oddać się w jego opiekę. Mówiąc to biedny Bernard cały był drżący. Twarz jego zmieniona, oczy zmęczone, gorączkowa mowa i ruchy, robiły przykre wrażenie. Grzybowicz wskazał mu krzesło.

— Bardzo jestem wdzięczen za zaufanie rzekł — radbym odpowiedzieć mu... lecz —przyznam się panu.. niezmiernie trudna to sprawa...

Bernard zbladł.

— Panie, rzekł—ja to czuję —ale dwoje istot będą ci winne swe szczęście.

— A przynajmniej dwie inne istoty—panie Bernardzie, będą może przeklinać—Matka pańska i pan Fantecki.

— Matka moja da się, spodziewam—przebłagać—co się tyczy pana Fanteckiego, ten powinien sam sobie przypisać winę.

Grzybowicz spojrzał tylko.

— Powiedz pan szczerze, odezwał się — masz go za złego człowieka?

— Bynajmniej! powiem więcej — zawołał z uniesieniem młodzieńczem Bernard — szanuję go, ale są charaktery co się z sobą nie godzą.

— Z obowiązku mojego, który mnie zbliża do spowiednika — odezwał się prawnik, powinienem panu uczynić uwagę, że gwałtowna miłość zaślepia i że pan też nie możesz być pewien, czy się później nie okaże podobna charakterów niezgodność.

Bernard porwał się jak obrażony z krzesła.

— Panie! co pan mówisz! ja ją wielbię — ja życie dla niej gotów jestem poświęcić—ja—ja....

Wzruszenie mówić mu nie dało...

Grzybowicz się uśmiechnął i zamilkł.

— Mówmy więc—o szczegółach mniej drażliwych—rzekł po chwili. Pani Marszałkowa jest tutaj.

— Wiem o tem...

— Nie widziałeś pan się z nią?

— Nie mogę.

— Chcesz pan ażebym mówił z nią w jego imieniu?

Bernard za obie ręce go chwycił.

— Uczynisz mi pan największą w świecie łaskę — proszę—błagam. Powiedz pan jej że jeźli mnie chce widzieć żywym, jeźli pragnie mojego szczęścia, powinna zezwolić. Panie, ja panu do zgonu będę wdzięcznym.

Skłonił się prawnik.

— Mam więc mówić w ten sposób tylko...

— Nie inaczej—przemów pan do jej serca...

Moje szczęście równie jak honor są w tej sprawie zainteresowane—dodał Bernard gorąco—porzucić jej która dla mnie się wszystkiego wyrzekła... żadna mnie siła nie zmusi.

— Rozumiem, rzekł Grzybowicz — a jeźliby ten dziwak Fantecki nie zgodził się na rozwód, jeźliby pani Marszałkowa nie dała zezwolenia, jeźli...

— W takim razie—wybuchnął Bernard—pójdziemy w świat, będę pracował, cierpiał—zniosę to położenie... i spełnię moją powinność.

— I pewnym pan jesteś że na ubóstwo, pracę, cierpienie, zgodzi się pani Seweryna?

— Mam w jej sercu ufność nieograniczoną—krzyknął Bernard... I jakżebym jej nie miał... widząc co już uczyniła dla mnie...

Grzybowicz spojrzał na zegarek.

Po tym wybuchu gorącym, nastąpiło milczenie... Bernard zbliżył się aby jeszcze polecić adwokatowi sprawę swoją. Mówił urywano, niewyraźnie, z uczuciem ale bez ciągu... Widać w nim było obłąkanego szałem i przerażonego własnem położeniem człowieka. Nareście pożegnali się, wyszedł, a Grzybowicz poczekawszy nieco, kazał konie założyć i do miasta wyjechał.

Pani Marszałkowa Znińska, starym zwyczajem majętnych właścicieli Wołynia, miała swój dworek w Żytomierzu. Inni posprzedawali dawno te posiadłości mniej teraz użyteczne, gdy już tyle spraw do pilnowania nie było i sejmików na które by zjeżdżać potrzeba — pani Znińska przez poszanowanie zabobonne niemal dla wszelkiej spadkowej własności, nie chciała się nigdy, nawet pod bardzo korzystnemi warunkami, dać wywłaszczyć z domu i ogrodu.

Dwór był drewniany stary, niepozorny, ze stajniami, dziedzińcem i kilką morgami gruntu, na których mały sad, warzywny ogródek i łączka się znajdowała. Wszystko to ani grosza nie przynosiło dochodu, dosyć było zrujnowane i podupadłe, nie wiele się na co dziedziczce przydać mogło, lecz mimo to nie chciała sprzedać za nic dworku Marszałkowa. Ile razy przyjeżdżała do Żytomierza, jak ojciec i dziad stawała w swoim dworku, gdy jej nie było, zajmował jedną jego połowę, wysłużony domu oficyalista pan Nikodem Prozorowicz, człek już siedemdziesiąt letni, dla którego rodzina Znińskich miała pewne obowiązki. Natury ich trudno się było dobadać, ale Prozorowicz nawet panią Marszałkowę z uszanowaniem lecz ojcowską niemal powagą przyjmował gdy przyjeżdżała, a ona obchodziła się z nim, nie jak z gracyalistą na łasce, ale jak z dalekim krewnym.

Pan Nikodem, którego niewiadomo dla czego zwano panem Burgrabią, o wszystkich interesach domu był jak najlepiej uwiadomiony, tradycye familijne znał na palcach, zdawał się liczyć niemal do rodziny, o Znińskich mówiąc, wyrażał się „my“ a o sprawach ich, jako o „naszych.“ Niekiedy jeździł do Stadnicy, zkąd mu pensyą wypłacano, przysyłano ordynaryę i dokąd we wszelkiej potrzebie udawał się jak do domu. Wszyscy tu szanowali wielce Prozorowicza, i był szacunku godnym. Niegdyś stary chodził po polsku, potem gdy się stroju tego coraz mniej okazywać zaczęło, zszedł na kapotę, została mu tylko głowa z włosem podstrzyżonym równo i wąs ucięty pod linią.

(d. c. n).

LIST PIĄTY

DALEJ NA ZACHÓD.

Council Bluffs w Stanie Jowa

w Ameryce północnéj

PRZEZ

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Jak górnik australski tak rolnik amerykański wzdycha za nowemi krajami. Bez wahania osiada w pustyni, naraża się na groty Indyanów i pracuje jak niewolnik. Po latach kilkunastu wykarczował fermę, zbudował dom dwupiętrowy i żyje jak nasz pan. O milę angielską od niego bieży już kolej i wznosi się miasteczko z kościołami i szkółką, setki sąsiadów mieszka dokoła, zdawałoby się iż mu nic nie zbywa do szczęścia.

Wnet jednak poczyna narzekać iż mu ciasno, że nie może biegać dowolnie ze strzelbą i że bydło cudze szkody mu czyni. Ni z tąd ni z owąd sprzedaje fermę za grube pieniądze i jedzie bez wahania jakie kilkaset mil na Zachód, by znów spotkać Indyanów, bory dziewicze i ciężką pracę fizyczną.

Dziwny to popęd, tkwiący w anglosaskich potomkach! Lecz ta awanturnicza żyłka zdobywa świat dziki dla przeludnionej Europy. Zaiste, dziwnemi i cudownemi środkami posługuje się Opatrzność, by dotrzymać obietnicy iż ziemia cała będzie własnością ludzką!

Nie długa to droga z Steven's point do La Crosse. W kilka godzin po pożegnaniu mych Poznańczyków patrzyłem już na czyste wody ojca wód, czyli Missisipi.*)

Rzeka ta, szeroka i głęboka jak Tamiza pod Londynem, nawet tu, o mil 2,500 angielskich od morza, rozdziela dwa północne Stany Ameryki. Brzegi jej nie bardzo malownicze zwłaszcza w porze zimowej. Po stronie Minesoty ciągną się wzdłuż nich niezbyt wysokie lecz pionowo spadające skały piaskowe, po stronie Wisconsinu jeżą się dokoła pagórki okryte szpilkowem lub twardem drzewem. Pomiędzy niemi ujrzysz często doliny przecinane rzeczkami i potokami. Wzdłuż dolin bieży kolej, po obu jej stronach, ciągną się niepokaźne płoty z kłód i drzew niezbyt dużych, rozgradzając pojedyńcze fermy, domostwa rolników a nawet w miasteczkach przy kolei, zbudowane z tarcic lub kłód ociosanych w kwadrat. Dopiero w La Crosse, mieście przeszło 10-o tysiącznem, spotykam parę ulic o kamienicach z czerwonej cegły.

City ta (stolica powiatu) przypomina mi zupełnie australskie miasteczka, szerokością ulic, brakiem gustu w domach i porządkiem. Jak tam tak i tu widzę w każdym domu sklep lub warsztat, snać żaden próżniak tam nie mieszka.

Jak tam tak i tu wydają dwie codzienne gazety, w których nie wyczytasz innych nowin oprócz powiatowych. Pierwsza ich strona zadrukowana paszkwilami na przeciwną partyę i redakcyę. Rady Republikana by obłożyć harapem wydawcę *Demokraty*, otrzymują odpowiedź by redaktora Republikana posłać do domu waryatów. Inne trzy strony zadrukowane inseratami kupców. Ile razy czytam taką gazetę przypomina mi się ów Górnik Ravenswoodu, stworzony przeze mnie w Australii i znajome twarze współpracowników władających lepiej batem jak piórem, przesuwają się przed pamięcią!

W hotelu gdzie stanąłem karmią mię i goszczą w całem łóżku (o cudzie!) za dolara dziennie. Trzy razy na dzień muszę się najadać mięsiwem, a gospodarz wcale niezadowolony z mego braku apetytu przy śniadaniu. By mu dogodzić musiałbym połknąć pół funta befsztyku już o 7-mej z rana.

Befsztyk i whisky zastępują miód i mleko w tej nowej obiecanej ziemi.

Nie myśląc zabawić dłużej jak do jutra w mieścinie, wyszedłem natychmiast po śniadaniu by się nasycić widokiem rzeki o której tyle słyszałem i czytałem.

Każda powieść lub podróże po Ameryce, wychwala tę główną drogę wodną w Stanach Zjednoczonych, każdy Amerykanin wyraża się z dumą o tej najużyteczniejszej rzece na świecie, bardzo więc byłem rozciekawiony jak też wygląda. W istocie zasługuje ona na pochwały. Czyste jej nurty toczą się zwolna ku południu, gładką ich powierzchnię nie rozrywają wodospady i progi: setki zielonych wysepek dzielą koryto jej na liczne ramiona, po obu stronach wody ciągną się najczęściej brzegi żyzne lub okryte pięknemi lasami. Nigdzie nie otrzymasz obfitszych plonów jak na łanach wykarczowanych nad brzegami Missisipi.

Ojcze wód, wielki gościńcu najpracowitszego ludu! Bory i stepy zachodnie stałyby się puszczą, gdyby wyschły twe skrapiające je tonie. Tobie zawdzięczają milijony chleb codzienny i zamożność. Rolnik orze i buduje się nad brzegami twemi, parowce i galary kupca ślizgają się po twej powierzchni, roznosząc płody przemysłu i pracy do miejsc najodleglejszych od wielkich ognisk cywilizacyi.

Mnogość parowców, galar i spław często mających kilkaset kroków długości, ożywiało rzekę. Śnieg padał gęsty i woda poczynała marznąć koło brzegu, cała więc flotyla handlująca w lecie śpieszyła dalej na południe, gdzie mrozy nie ścinają rzeki. Spławy tutejsze większe jeszcze jak owe płynące na Renie mieszczą nieraz całą wioskę flisaków, w domkach drewnianych zbudowanych wcale nieźle. Dym wznosi się z kominów, wesoła wrzawa kobiet i dziatwy mieszkających w tych pływających siołach, dolatuje słuchacza na brzegu. Zwolna lecz niechybnie dąży wyspa z kłód i tarcic ku morzu odległemu o mil 600.

Galarów tutejszych nie puszczają flisacy samoistnie jak tratwy, lecz łączą je z parowcami idącemi na

*) Missisipi oznacza w języku Indyan rodzic wód.

południe. Dla Amerykanów nie wystarcza cierpliwy sposób wiślańskich flisaków, spuszczania ziarna ku morzu li za pośrednictwem prądu rzeki, gdyż czas to pieniądze. Dla tego łączą 4 lub 5 olbrzymich promów do parowca, nie ustawiając ich w szeregu jeden za drugim lecz obok siebie. Parowiec więc nie wlecze za sobą galarów ale ma po dwa lub 3 po każdej stronie, niby kwoka osłaniająca skrzydłami pisklęta. W skutek takiego urządzenia zajmuje czasami cała flotyla połowę głębokiego koryta rzeki; koło parowca umieszczona w tyle pieni wodę i zostawia za sobą długi szlak skłóconych nurtów.

Pilotowanie i spław flotyl galarowych, po rzece krętej, często zasianej licznemi i podwodnemi drzewami i podzielonej wysepkami na liczne ramiona ma być nader trudne. Za to też płacą flisakom wybornie, dając im po 5—6 dolarów dziennie przez 7 miesięcy letnich.

Materyału na spławy dostarczają olbrzymie sosnowe, dębowe i kasztanowe bory Wisconsinu i północnej Minesoty. Tysiące dziarskich siekierników wycina je przez zimę, na wiosnę spuszcza kłody na wezbranych strumykach i rzeczkach ku Missisipi, w lecie i jesieni spławia je w kształcie tratew i galarów do Saint Luis lub Nowego Orleanu.

Groble (quai) w La Crosse zawsze ożywione tłumem handlarzów zbożem i drzewem. Ludzie ci albo stoją z rękami w kieszeniach żując prymkę wedle tutejszego zwyczaju i wpijając przebiegłe oczy w rubasznego fermera zachwalającego towar: lub też ważą na dłoni gryząc zębami pulchne ziarnka pszenicy, lub z ostrym nożem i sporym patykiem jodłowym w ręku, targują się o cenę kilku kłód lub kilkuset tarcic.

Patyk i nóż ostry nigdy nie opuszczają tutejszego kupca drzewa, jak gwiazda i pałka policyanta. Studyując ruchy takiego jegomości a czuwając w jaki sposób struże patyk, można się domyśleć toku całego targu.

Teraz posuwa zwolna ostrze noża po deseczce i sypie z niej długie, cienkie wióry, niby heblowiny. Widocznie udaje obojętność na pochwały jakiemi leśnik zaleca mu swój towar.

W tem chwyta nóż silniej i poczyna wycinać kreski na patyku. Każda kreska to setka dolarów, z podnoszeniem ofiarowanej ceny tnie więcej karbów.

Zniecierpliwiony wreszcie uporem chłopa rąbie żwawo patyk, wywierając na nim gniew swój. Krótkie wióry padają gęsto dokoła.

Nareszcie wsadza energicznie nóż do kieszeni, chwyta drewno oburącz; łamie go ciska w wodę i mówi:

„Nie dam jednego *dam red cent* (przeklętego czerwonego szeląga) więcej!

Chłop przerażony energiją i widząc że już handlarz tyłem się obraca do niego oddaje swe kłody i bierze zadatek.

Struganie drzewa weszło w zwyczaj między licznemi warstwami pracującego społeczeństwa w Zachodnich Stanach. Nazywają oni ten zwyczaj *whittling* i nie widzą w tem nic śmiesznego, by człowiek poważny ciął na kawały każdą trzaskę wpadającą mu pod rękę lub ryl swe naswisko na drewnianej ścianie domu, gdy rozmawia o interesie. Ręce tych ludzi nienawidzą próżniactwa i w ten sposób łudzą się rodzajem fizycznego zajęcia. Niedarmo mówili mi Anglicy iż daj Yankeesowi toporek i nóż a zbuduje dom i umebluje go. Spotkałem już leśników tak zręcznych w używaniu scyzoryka iż wykrawają duże i piękne modele okrętów i parowców. W takich modelach nic nie brakuje, od masztu aż do kotwicy.

Śnieg padał coraz gęstszy, dzwonki sanek brzmiały już na ulicy, wróciłem więc do hotelu by podziwiać przez okno od lat tylu niewidziane a miłe sercu widowisko, dzielnych i zdobnie zaprzężonych rumaków, kłusujących po puchach śniegowych.

Zaiste, jest to poezya ruchu a głos dzwonków tworzy godną do niego muzykę. Jeżeli kiedy ustalę się w Ameryce, to w prowincyi, w której będę mógł hasać sankami po stepie.

Przed obiadową porą wszedł do parloru (bawialni hotelowej) znajomy mój z Chicago, ów spekulant chcący zabrać Indyanów do Europy. Wedle przyrzeczenia dopędził mnie, dopędziwszy znów nalegał bym mu towarzyszył w wyprawie na Zachód.

— Śnieg leży tak głęboko na stepach iż nie zdołałbyś pan ocenic gruntu, ja też nie mogę jechać do północnej Dakoty, gdyż zbyt tam teraz zimno bym mógł się tłuc po obozach indyjskich. Przyjm pan mą radę jedźmy do południowej Nebraski, tam żyje spokojne pokolenie Pawni i łatwo tam zbierzemy ochotników. W Europie powiemy iż to szczątki walecznych owych Modoków, których kapitana powieszono niedawno.

— Lecz ja nie chciałbym wydać ani grosza na tak szalone przedsiewzięcie aż do chwili gdy przywieziemy Indyan do Chicago, odrzekłem.

— O to bądź pan spokojny odrzekł spekulant. Wspólnik mój w Chicago, siedzący przy ciepłym piecu i pięknej żonie, podczas gdy my narażamy członki na mróz a głowę na toporek, opłaci pierwsze koszta. Przed wyjazdem dał mi 200 dolarów, te wystarczą by wyszukać Indyan. Skoro podpiszemy z niemi kontrakt przyszle dość pieniędzy na powrót do Chicago.

Oczywiście iż pod takim warunkiem zgodziłem się na podróż do Nebraski.

(d. c. n.).

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Paryż.

Gołoledź i wynikłe z niej wypadki. — Nowa Opera. — Wniosek p. Cezanes o urządzenie obserwatoryum fizyczno-astronomicznego. Sprawozdanie p. Faye w Akademji Nauk. — *Cuda przemysłu*, Ludwika Figuier. — *Indye Rojaków*, L. Rousselet.—*Komety*, p. Guillemain.—*Wiek XVIII, instytucye, zwyczaje i kostiumy*, p. Lacroix. — Przyjęcie Dumasa do Akademji.

(Dokończenie).

Skończywszy o podróży ziemskiej, wspomnimy jeszcze o dziele p. Amadeusza Guillemin p. t. *Les Cometes* w którem uczony ten daje nam objaśnienia o początku i ostatniem przeznaczeniu ciał niebieskich opisujących swe drogi na krańcach widomego świata. Od chwili jak przypuszczono możliwość wytłomaczenia dziwnych fenomenów jakie przedstawiają komety, zwróciły one na siebie szczególniejszą uwagę uczonego świata. P. A. Guillemin w pouczającej monografii Komet przedstawia nam ich dzieje i ostatnie dochodzenia naukowe.

Laplace uważał już komety za małe błędne mgławice, całkiem obce systematowi planetarnemu. Powstałe z zgęszczonej materyi kosmicznej, która zdaje się obficie jest rozproszoną w wszechświecie, biegną w różnych kierunkach, dopókąd nie napotkają nareszcie jakiegoś słońca którego silne przyciąganie przytrzymuje je czasowo i włącza do swego orszaku. Zdaje się nawet że posuwają się gromadami; od czasu do czasu, kometa odosobniona lub jakaś gromadka komet odłącza się od całej gromady i biegnie w odwiedziny w dziedzinę poblizkiego słońca. I tak włosiste te gwiazdy przybywają do nas z głębi gwiazdowego świata; jedne przyłączają się stale do słońca, inne, (zdaje się największa część) znowu oddalają się i nikną w przestrzeni. Ale układ tych posłanników gwiazdowego świata choć tak wątły, niepozwala jednak przebywać bez uszkodzenia stref w których silne planety krążą w około naszego słońca. Kołysanie się tych ciężkich gwiazd wyradza w eterze tak silne falowanie, mówi p. Guillemin, że krążące w nich komety podlegają znacznym uszkodzeniom; niekiedy rozdzielają się tam lub rozpraszają na kawałki i najczęściej pozostawiają odłamki unoszące się w przebieganych przez nie drogach. I stąd to w przestrzeniach międzyplanetarnych rozproszone są małe ciałka napotykane przez planety w ich peryodycznych drogach, i one to powodują owe świetlne smugi rozjaśniające nasze noce. Z tych także spotkań powstają gwiazdy spadające.

Teoryę tę, łączącą naukę o meteorach z właściwą astronomiją i poddającą ją prawom mechaniki niebieskiej, utworzył sławny astronom włoski, Schiaparelli; tożsamość dróg jakie według obliczeń przebiegają pewne komety i peryodyczne rojowiska gwiazd spadających, pojawiających się w nocach sierpniowych i listopadowych, nadają tej teoryi cechę prawdopodobieństwa graniczącą z pewnością.

Przebiegając tak ze świata do świata, błędne te mgławice rozsiewają po drodze proch ze składających je żywiołów, a analiza widmowa dokładnie tłomaczy nam ich naturę. Wszystkie rozbierane dotąd widma komet, składają się głównie z pewnej liczby jasnych pasów świetlnych, oddzielonych od siebie dość szerokiemi przerwami ciemnemi; komety z jądrem dają prócz tego widmo stałe, bardzo blade, na którem odbijają się pasy świetlne. Z tego można wnosić że ogony i włosy komet powstają z gazów rozpalonych do białości, co zaś do jądra, jeźli ono istnieje, widmo nieprzerwane dozwala się domniemywać że składa się ono z materyi płynnej lub stałej rozpalonej do białości, ale słabość światła nie pozwala twierdzić czy widmo to na pozór nieprzerwane nie zawiera pręg czarnych, a w takim razie byłoby to po prostu światło odbite od słońca.

Nie możemy jeszcze pominąć ważnego dzieła historyograficznego pana Pawła de Lacroir, p. t. *Le dix-huitieme siécle, institutions, usages et costumes.* Poprzednio już autor ten ogłosił dwa dzieła o wiekach średnich i o epoce odrodzenia; nowa ta praca jest równie zajmującą, a przewyższa jeszcze dawniejsze głębokością i donioslością poglądu. Autor nie poprzestaje na samem opisaniu i wykazaniu faktów, ale wydaje sąd o nich, wskazuje przyczyny i następstwa. Cóż na pozór może mieć mniejszy związek z poważną historyą, jak rozdział poświęcony opisowi kuchni i wystawności stołu dawnych finansistów i magnatów? Kronikarz mógł ograniczyć się na opisaniu tych obiadów gdzie zbytek potraw walczył o lepszą z przepychem nakrycia i zastawy, pan Lacroir nie poprzestaje na tem i przedstawia następstwa tego bezczelnego marnowania bogactwa, często najnieuczciwej nabytego: wykazuje jak złe musiały wywoływać wrażenie takie szalone zbytki, z któremi z rozmysłem popisywano się i chełpiono publicznie. Cóż pomyśleć n. p. o takim Verdelet, który zazdroszcząc Heliogabalowi jego pawich języków, zapłacił 1200 fr. za jeden półmisek samych karpich języków. Obok tych oburzających szaleństw jakich dopuszczali się entrepreneurowie, poborcy i dworacy, autor przeciwstawia obyczaje mieszczańskie tak na prowincyi jak w Paryżu, tej klasy cichej i poddającej się kornie wszelkim ograniczeniom do jakich zmuszała ją szlachta i same nawet prawa. Nie presadzając bynajmniej kolorytu, autor maluje nędzę ludu, nędzę chłopów których dobrej i łatwej natury nie zdołały zepsuć tyle wieków niewoli, i dopiero nagła wolność poniżyła ich charakter i popchnęła do nieprzewidzianych występków i zbrodni. Czyliż z takich sprzeczności straszne nie tryska światło? Czyż przeczytanie takiej książki, nie skłania czytelnika do mimowolnych rozmyślań?... Jakkolwiek więc

autor podaje nam tylko rysunki i szkice, możemy śmiało przyznać mu nazwę malarza historycznego.

Dnia 11 lutego ma mieć miejsce przyjęcie do Akademii słynnego Alexandra Dumasa, który zasiada w gronie nieśmiertelnych na fotelu opróżnionym przez śmierć p. Lebrun, autorze tragedyi „Marya Stuart,“ która tak długiem cieszyła się powodzeniem. Dziwny zbieg okoliczności, właśnie zmarły Lebrun najsurowiej powstawał na sztuki dramatyczne Dumasa i innych autorów w podobnym duchu piszących, uważając je za źródło zepsucia smaku i skażenia obyczajów. Szczególniej oburzały go teorye Dumasa o niewiarze małżeńskiej, otóż Dumasowi właśnie przypadło głosić jego pochwałę.

Mowę swoją inoguracyjną czytał już Dumas w Komitecie Akademii i zatwierdzono ją jednogłośnie. O ile nam wiadomo odpiera w niej zarzuty niemoralności czynione jego utworom dramatycznym, i jak kiedyś Rousseau, który napisał w przemowie do swojej *Nowej Heloizy*: że każda panna która przeczytawszy przedmowę nie rzuciłaby książki, byłaby po prostu „une fille perdue“ bo romansów nie pisze się dla panien;—tak i Dumas broni się tem, że nie sztuki jego są niemoralne, ale matki prowadzące na nie swe córki, które wcale na podobne widowiska uczęszczać nie powinny. Trudno zaprzeczyć że ma trochę słuszności.

Z drugiej strony Dumas może być zadowolniony, że teorye jego wchodzą w życie i we wszystkich klasach znajdują zwolenników. Oto nowy fakt podany przez gazety.

Przed parą tygodniami przyjechał do Tournai jakiś mężczyzna w towarzystwie kobiety i trojga dzieci; stanęli w jednym pokoju, w hotelu Chat-gris, przy ulicy Dame-Odile. Kobieta ta porzuciła męża i zabrawszy troje dzieci uciekła z kochankiem; dwoje jeszcze zostawiła mężowi, który był nadzorcą robotników przędzalni w Saint Germain, pod Paryżem. Był to człowiek pracowity, spokojny i tak umiał się rządzić, iż z oszczędności nabył domek w którym mieszkał.

Stanąwszy w Tournai, wiarołomna żona napisała do siostry swojej prosząc o jaki zasiłek pieniężny, i ta dała wiedzieć mężowi gdzie się żona jego znajduje. Piotr Bohlay natychmiast pojechał do Tournai i wpadł niespodzianie do pokoju; na jego widok kochanek zmięszał się niewymownie, oznajmił że się natychmiast oddali co też uczynił. Łatwo pojąć jak żywa rozprawa nastąpiła między małżonkami, nareszcie żona miała wracać do domu, lecz korzystając z chwilowego oddalenia się męża, pojechała do Lille i tam parę dni zabawiła. Ta nowa wycieczka przywiodła męża do ostateczności, to też za powrotem żony orzucił ją srogiemi wyrzutami i uniesiony gniewem dał ognia z rewolweru, kula trafiła w głowę i kobieta padła trupem. Mąż powolnie wyszedł z pokoju, a pytającym o powód wrzawy odpowiedział spokojnie: „Użyłem prawa swego, zabiłem niewierną.“ Ani myślał uciekać, a gdy go zaaresztowano, powiedział: „uczyniłem co mi nakazywał obowiązek.“

Widać Piotr Bohlay niezawodnie czytał *L'homme femmme* Dumasa. *K. G.*

Lwów w Lutym.

(Ciąg dalszy.)

Książę Leon Sapieha obudził w Galicyi ruch spekulacyjny i dał impuls zawiązywania towarzystw akcyjnych w kraju. Czy jest w tem co zdrożnego? Zasada na której opierają się towarzystwa akcyjne, jest zdrowym wynikiem przeświadczenia, że czego jednostka sama zdziałać nie może, to jest łatwem do wykonania dla sił zbiorowych. Zasada ta nie jest mrzonką podobną do mrzonek socyalistycznych, lecz głosem naturalnego rozsądku i wiekowych doświadczeń. Że nadużywano jej nie zawsze w sposób godziwy, że pod płaszczykiem skupienia sił i kapitałów dla jakiegoś korzystnego na pozór przedsiębierstwa, kryła się często prosta chęć zbiorowego złupienia akcyonaryuszów, to znowu inna sprawa, za którą odpowiedzialne są organa powołane do nadzoru towarzystw i przedsiębiorstw. Nadzór ten był niedołężny, więc mnożyły się nadużycia, wyzuwano niewinnych i nieświadomych akcyonaryuszów z zaoszczędzonego grosza, wstrząśnięto w końcu kredytem i wywołano owo straszliwe przesilenie, które trwa już dwa lata i milijonowe pochłonęło fortuny. Ale za to nie można potępiać instytucyi asocyacyjnej tak samo jak niemożna potępić z kretesem wynalazku, który wyświadczył ludzkości wielkie przysługi a w rękach nieostrożnych stał się czasem źródłem wielkiego nieszczęścia.

Właśnie to za zasługę poczytujemy księciu Leonowi Sapiesze, że ożywił w Galicyi ruch przedsiębiorczy, że własnym udziałem, zachętą i przykładem wywołał liczne towarzystwa akcyjne. Jeżeli bowiem gdzie, to w naszym kraju ruch asocyacyjny zdrowo rozbudzony, dobrze kierowany i należycie nadzorowany, stać się może źródłem wielkich dla ogółu dobrodziejstw. W ziemi naszej spoczywają różne niewyczerpane skarby, obfitujemy w pyszne surowe produkta a pozwalamy się wyzyskiwać zagranicznym kapitalistom bo nie umiemy skupić sił do jednego celu. Jeżelibyśmy czekać mieli aż jednostki posiadające milijony wybudują potrzebną sieć kolei żelaznych i pozakładają potrzebne fabryki, to stan dzisiejszy wcale nie świetny a może nawet upokarzający trwałby w nieskończoność.

Dzisiejsze napaście na naszych kapitalistów i potępianie bezwarunkowe towarzystw akcyjnych bardzo nam zaszkodzi, bo zatamuje ruch, który w niedługim czasie mógł nas zrównać z zagranicą. I tak już kredyt publiczny nadługo został zachwiany a jeżeli nadto każdemu przedsiębierstwu bez bliższego zbadania jego celów i zamiarów, towarzyszyć ma wzgarda publiczna, to nie znajdzie nikt w kraju kapitalistów gotowych do skupienia sił rozdrobnionych. Gdyby zaś nawet znaleźli się śmiałkowie gotowi do inicyatywy to ogół obałamucony przez uprzedzone głosy i nieustannie w ten sposób podłechtywany, odwróci się od nich z niechęcią, a to jest już wyrokiem śmierci dla każdego przedsiębierstwa polegającego właśnie na zaufaniu i poparciu ogólnem.

Gdy przed rokiem w jednym z wiedeńskich teatrów grano po raz pierwszy komedyjkę Jana Alexandra Fredry (syna) *Posażna jedynaczka*, publiczność niemiecka była prawie zachwyconą a w dziennikach, spotkaliśmy się zaraz nazajutrz z naiwnem spostrzeżeniem, że nasza dramatyczna literatura musi być w cale bogatą i godną poznania, skoro farsa komedyopisarza, który mimo znakomitych zdolności nie należy jeszcze do najpierwszych, zdołała zjednać sobie tak przychylne przyjęcie u obcej publiczności. Grano potem w tym samym teatrze po raz drugi i trzeci *Posażną jedynaczkę* a zawsze teatr był pełny i zawsze publiczność wiedeńska wychodziła z niego wesoła i zadowolona, chociaż sztuka była dla niej przynajmniej o połowę bledsza niż dla naszej publiczności poznającej w osobach jej typy często i wszędzie spotykane. Zdawało się, że po tej pierwszej a szczęśliwej próbie, dyrekcye wiedeńskich teatrów zrobią dalsze próby ze sztukami naszemi, ale skończyło się na oczekiwaniu. Na razie możemy być zadowoleni i z tego tryumfu, ale byłby on zupełnym gdyby na scenę wiedeńską dostała się choć jedna komedya genialnego Fredry (ojca). Że istnieje jeszcze drugi Fredro i że pisał komedye bez porównania znakomitsze niż syn, o tem dowie się szersza niemiecka publiczność może dopiero z artykułu dr. Henryka Blumenstocka w zbiorowej książce *Die Dioskuren*. Książka ta wydawana corocznie staraniem stowarzyszenia austryjackich urzędników i przeznaczona zawsze na cel dobroczynny, mieści w sobie dużo pięknych prac i rozchodzi się w znakomitej ilości egzemplarzy. Możemy więc pocieszać się nadzieją, że piękna, krótko ale trafnie napisana praca krytyczna dr. Blumenstocka, zapozna niemiecką publiczność z nieznanym jej zupełnie komedyopisarzem, który gdyby był niemcem posiadałby niezawodnie wielki rozgłos w całej Europie i codziennie rozweselałby publiczność na jednej z tak licznych scen niemieckich. Za tę pracę szczerze wdzięczni jesteśmy autorowi, który już w roku ubiegłym w tej samej książce zwrócił uwagę Niemców na pisma jednego z najgenialniejszych poetów naszych. Musimy tu dodać, że dr. Blumenstock posiada wszelkie warunki ku temu, ażeby stał się pośrednikiem literackim pomiędzy nami a niemiecką publicznością. Urodzony i wychowany w Krakowie włada wybornie językiem polskim, zna naszą literaturę doskonale a nadto pisze bardzo dobrze po niemiecku. Przeniosłszy się do Wiednia, zajął tam stanowisko ważne i posiada wielkie wpływy w tamtejszym świecie dziennikarskim i literackim. Dr. Blumenstock wyświadczy naszej literaturze wielką przysługę, jeżeli nie poprzestanie na dotychczasowem pośrednictwie literackiem lecz nadal w niemieckich pismach zwracać będzie uwagę na arcydzieła naszej poezyi. Będzie to zarazem przysługa dla Niemców, którzy czasem sami sobie wyrzucają zupełną nieznajomość literatury polskiej, co stało się niedawno, gdy przekład niemiecki listów Odyńca dokonany przez krakowskiego profesora uniwersyteckiego dr. Bratranka, zainteresował bardzo niemiecki świat literacki.

(*d. n.*)

Przegląd literacki.

Mózg i Dusza

przez doktora Stefana Pawlickiego wydanie drugie. Kraków 1874.

(Dokończenie).

Wspomina dalej autor, że owady nie mające zgoła mózgu lub nieznaczne tylko jego zarody, nieskończenie wyżej czasem stoją od zwierząt obdarzonych znaczną ilością mogą (np. porównać mrówkę i owcę!); przytacza podział rozmiarów czaszek dokonany przez Welkera, według którego jednakowe czaszki mają Lapończycy, Turcy i Włosi, dalej znowu jednakowe najdujemy u Indusów, Murzynów i Hottentotów, a trzecią grupę stanowią Niemcy, Kałmucy i Chińczycy. Połączenie tak rozmaitych plemion, o tak różnych zdolnościach i odmiennej cywilizacyi, dowodzi że te ostatnie od mózgu i czaszki wcale nie zależą.

Znajdujemy tu dalej świadectwo Wagnera, że mózg murzyna nie różni się od mózgu europejczyka i takież świadectwo Humboldta, który na tej zasadzie odrzucał wszelki podział rodu ludzkiego na rasy.

Następnie nieodpowiedniość mózgu i umysłowego rozwoju wykazują te okoliczności, że u dziecka 8 letniego już mózg jest całkiem rozwinięty, u starców u których w ogóle ciało, a więc i mózg, jest już w stanie osłabienia, zbliżającego się do rozkładu, powszechny głos ludzkości od najdawniejszych czasów uważa za rozumniejszych od młodzieży. Dalej potrąca autor kwestyę mózgu kobiecego, który istotnie lżejszy jest od męzkiego i staje w obronie równości umysłowej kobiet z mężczyznami, której, podług autora

zaprzecza materyalizm dla tego, „ażeby nieznaną przedtem godność, do której wyniosła kobietę religija chrześcijańska, znowu jej odebrać“ (str 24). W tym punkcie myli się autor; u nas to właśnie materyaliści głoszą całkowitą i zupełną równość kobiety z mężczyzną, zapominając na ten raz o mózgu i mając inne do tego powody niż opozycyę przeciwko religii chrześcijańskiej.

Nie będąc w stanie dowieść, że czynności duchowe zależą od ilości mózgu, materyaliści próbowali uczynić je zależnemi od jakości i formy mózgu i rozprawiają więc o tem, jakoby czynności duchowe zależały od większej lub mniejszej zawartej w mózgu ilości fosforu, tłuszczu, od kształtu zawojów mózgowych, od ilości szarej materyi w mózgu i t. d.

Wszystkie tu bezskuteczne usiłowania obalają fakta, z doświadczeń czerpane, z których wiele przytacza nasz autor. Przy tem rzecz dziwna — materyaliści, którzy radziby oprzeć wszystko na doświadczeniach zmysłowych, powtarzają kilka twierdzeń zupełnie dowolnych, z góry wypowiedzianych (jak się mówi, apriori), którym właśnie doświadczenia kłam zadają. Czasem nawet materyaliści biorą za dobrą monetę żart, przyjmują w znaczeniu dosłownem wypowiedziane przez kogoś porównanie lub prostą przenośnię. Pod tym względem ciekawa jest historya owego słynnego twierdzenia, jakoby władza myślenia zależała od ilości fosforu w mózgu. P. Pawlicki opowiada, że kiedyś znany Feuerbach napisał te słowa: „na świecie teraz tak ciemno, bo nasi wielcy myśliciele nie mają w mózgach swoich fosforu.“ Była to żartobliwa przenośnia, gdyż fosfor wydaje światło.

Tak samo mówimy przecie o „światłych głowach“ co przecie nieznaczy że w głowach uczonych pali się nafta lub gaz.“ Znalazł się jednak Moleschott jeden z przywódców materyalizmu, który wziął powyższe słowa Feuerbacha w ich literalnem znaczeniu i zawyrokował „bez fosforu nie ma myśli“ a Büchner nareszcie odważył się wypowiedzieć, iż mózg dla tego jest siedliskiem duszy i organem myślenia, że więcej zawiera w sobie fosforu niż jakakolwiek inna część ciała ludzkiego. Tymczasem to zdanie jest całkiem fałszywe, gdyż nawet elementarna fizyologija uczy, że w ciele ludzkiem najwięcej fosforu zawierają w sobie kości, nie zaś mózg a mianowicie, podług Liebiga, w kościach zawiera się 400 razy więcej fosforu niż w mózgu. Tak to rodzą się dogmata materyalizmu: coś to nakształt tego, jak np. gdybyśmy na mocy wyrażenia „brak mu klepki“ wnieśli że mózg ludzki jest nakształt beczki z klepkami i obręczami.

Dalej, rozpatruje autor znane i tak często powtarzane wnioski o duchowych czynnościach mózgu wyprowadzane przez analogiję z operacyi nad mózgiem gołębi, psów, i t. d. Pomijając tę okoliczność, że analogii nie można posuwać zadaleko, gdyż gołąb i człowiek—to niejedno, choćbyśmy nawet i zgodzili się na to, że mózg jest organem myślenia i czucia, to cóż ztąd wynika? Jeżeli bez organu nie ma objawów, nie znaczy to że organ do objawów wystarcza, to jest że ten organ sam działa. Bez skrzypców nie masz gry, ztąd nie wynika jednak że skrzypce same grają. Pan Pawlicki powiada: „nie może być duszy, powtarzali radośnie materyaliści, bo co to za dusza, którą mogę skalpelem wykrawać z mózgu? Tak samo, odłamując kółka jakiej maszyny parowej, mógłbym, niweczący tem samem ruch maszyny, zawołać nie ma tu pary, bo co tu za para, którą mogę kawałkami odłamywać wraz z zębami kółka? Istotnie rzecz to jasna i tylko dobrowolne zaślepienie ludzkie i lekceważenie wszelkiej logiki przez materyalistów, mogą utrzymywać niedorzeczny spór w tym przedmiocie. Ażeby skutek przypisać wyłącznie jednej przyczynie, trzeba wprzódy dowieść, że bez tej przyczyny ten sam skutek jest niepodobny, a że utrata zmysłów, pamięci i t. d., zdarzają się nietylko wskutek wykrawania mózgu, widać więc że ten sam skutek może i z innych przyczyn pochodzić. Nakoniec upływ krwi, a nawet zatamowany jej obieg, niszczy życie a więc i czynności duchowe krew więc chyba ważniejsza od mózgu, a więc we krwi siedlisko duszy?

Przechodząc do dowodów materyalizmu czerpanych z patalogii, autor przypomina, że największe powagi w świecie lekarskim utrzymują, iż niezawsze rozstrój umysłu i w ogóle choroby duchowe są połączone z uszkodzeniem mózgu i odwrotnie, uszkodzenie mózgu niezawsze prowadzi za sobą duchowe choroby. Takiego są zdania Hufeland, Carus, Griesinger, Leuret Schroeder, Neumann i t. d.

Zarzuty materyalistów, czerpane z dziedziny fizyologji, nie są zasadniejsze od powyższych anatomicznych i patalogicznych argumentów.

Występuje tu znana kwestya wpływu i oddziaływania, istniejącego pomiędzy duszą i ciałem. Materyaliści zwykle prawią dużo o wpływie ciała na objawy duchowe (pokarmy, napoje, choroby i t. d.) ale bardzo mało albo nic wcale nie lubią wspominać o wpływie duszy na ciało, tak pospolitym i widocznym (jak np. rumieniec wstydu, bladość wskutek gniewu, niezważanie na rozmowę, na ból i t. d.)

W tej swojej jednostronności materyaliści posunęli się do dziwnej, nieco nawet śmiesznej ostateczności: oto Moleschot określa ściśle, jakie potrawy kształcą dyplomatów, uczonych i t. d., a Vogt twierdzi nawet, że kiedyś z pewnością dla każdej myśli wynajdziemy odpowiednią potrawę, co ma znaczyć że można będzie odgadnąć myśli każdego, wiedząc co kto jada! Zresztą takie nadzieje są tylko czczą sobie zabawką, i zdaniem naszem, niepotrzebnie nasz autor za wiele poświęca im miejsca i poważnego zbijania. Przy tej atoli sposobności, mówiąc o wpływie pokarmów i narkotyków, autor gruntownie wykazuje, że wrażenie i marzenie nie są myśleniem: ten ustęp polecamy naszym czytelnikom (str. 61—64).

Dalej przechodzi autor do faktu *pamięci*, jako dowodzącego istnienia materyalnej duszy. Istotnie przechowanie w pamięci niezliczonej ilości różnych wiadomości nie może być przechowaniem w mózgu, bo choćby owe wiadomości były czemś materyalnem, albo jakiemi zmianami w mózgu, to naprzód nie mogłyby się pomieścić w szczupłej stosunkowo przestrzeni mózgu, a potem, wszak wiemy że ciało odnawia się bezustannie, tak że po 7 latach nie masz w człowieku ani jednej dawniejszej cząstki, a więc i mózg całkiem już jest odnowiony. Jakim więc sposobem mogłyby pozostać w mózgu rozmaite wiadomości i wspomnienia?

Słyszymy np. o młodzieńcu i dziewicy, którzy, ulegając przemocy nieprzyjaznych okoliczności, od lat siedmiu zachowują dla siebie jednakowe uczucia, czekają z ufnością i nadzieją, widząc jedyną broń w swej stałości; przyrzekają sobie nawet wierność dozgonną i przyrzeczenia dotrzymują. Jakim sposobem może dziać się coś podobnego, gdy z upływem lat tylu, nie ma już w obojgu żadnej cząstki postaci, która poznała drugą i wpływ na nią wywarła, która powzięła uczucie i postanowienie wytrwania? Droga pamięć przeszłości, wytwałość i stałość—wszystko to musi tkwić w duszy niezmiennej i zawsze tej samej, pomimo zmian ciała.

Przechowanie wspomnień w mózgu, pomimo zmian jego składu, niektórzy materyaliści porównywają do blizny, która pozostaje często na całe życie, choć otaczające ją cząstki ciała również uległy odnowieniu. Porównanie zupełnie niestosowne, gdyż blizna — to tylko pewna *forma*, którą zachowują i nowe cząstki powstałe na miejscu dawnych, zupełnie tak samo jak forma nosa, rąk i t. d. którą zachowują nowe cząstki, *pamięć* zaś, biorąc rzecz materyalistycznie, dałaby się pojąć tylko albo jako rzeczywiste *przechowanie* zapasu w mózgu, albo jako *czynność* tegoż mózgu.

Przechodząc od zbijania materyalistycznych twierdzeń do dodatnich na korzyść istnienia duszy dowodów autor mówi o czuciu, myślenia i woli. Nie będziemy tu już rozszerzali się zbytecznie; tę tylko zrobimy uwagę, że ta część pracy pana P. jest nieco słabszą od poprzedniej, w której zbijał materyalistów. Zawsze jednak i tutaj autor wykazał że co do czucia, człowiek nie jest bierną istotą, przyjmującą wszystko z zewnątrz, lecz że wrażenie jest niemożliwem bez udziału samego ducha, jako najważniejszego w nim czynnika; co do myślenia, choćby istotnie mózg był organem tej czynności, wszelako najpospolitsze fakta i doświadczenia nie pozwalają zgodzić się na twierdzenie, że to mózg myśli; przeczy temu głównie sam fakt samowiedzy — poczucia własnego *ja*, które nie jest ani mózgiem ani nawet ciałem. Wszak to do tego niemateryalnego, niedającego się ująć zmysłami *ja*, nie zaś do jakiejbądź części ciała, odnosimy nasze wrażenia i myśli. Wiem dobrze że to *ja* czuję ból, w ręce lub nodze, nie zaś ręka lub noga, że to *ja* myślę nie zaś mózg ani głowa.

Nakoniec co się tyczy woli, autor nasz poprzestał na dość pobieżnym szkicu. W tym punkcie materyaliści i fizyologowie lubią wiele rozprawiać o cudownym mechanizmie muskułów, nerwów i t. d. które porusza wola, lecz nie potrafili jeszcze wykryć wszystkich kółek i sprężyn mechanizmu, a że głównie nie wykazali iż owa wola jest jakimś muskułem lub kością, pozostaje więc chyba przypuścić, że jest to własność niemateryalnego ducha. Tak zwaną teoryę reflektów (odruchów), którą bezzasadnie tak chlubi się fizyologija, pan P. całkiem prawie pominął, a szkoda; chociaż bez wątpienia na szczegółowy rozbiór nie dozwoliły rozmiary książeczki.

W jednym punkcie autor zawiele czyni ustępstwa materyalistycznej fizyce, a mianowicie co się tyczy owego przejścia ruchu w światło, ciepło, elektryczność i t. d. Z filozoficznego punktu zapatrywania się, na to zgodzić się niepodobna, ani też uważać ruch, światło i t. d. za samodzielne przedmiotowe własności rzeczy to jest za ich przymioty, istniejące niezależnie od czującego ducha.

Nie poprzestając na pobieżnej ocenie, podaliśmy obszerniejsze streszczenie pracy pana P., uzupełniwszy je tu i owdzie własnemi uwagami. Uczyniliśmy to dla tego że u nas — musimy to wyznać — kwestya ta nadzwyczaj mało znana, a jeżeli przypadkiem w rozmowie towarzyskiej kto ją czasem poruszy, najczęściej, niestety, słychać pochwytane ułamkowe wzmianki o owych mózgowych operacyach i pośpieszne ztąd wnioski. Nieobeznani z kwestyą często z podziwieniem spoglądają na roztaczających różne brednie niedowarzonych myślicieli. Szczególniej taki podziw obudzają jaskrawe teoryjki w kobietach (nie gniewajcie się Czytelniczki:) dla tego sprawozdawca będzie się uważał za szczęśliwego, jeżeli niniejszy artykulik pobudzi jego Czytelniczki do głębszego zastanowienia się nad kwestyą i do dokładniejszego, według możności, jej zbadania.

Przy końcu wypada nam wspomnieć i o ujemnych stronach dziełka. Do takich zaliczamy kilka wypadków mniej potrzebnego uniesienia, zdradzającego w autorze księdza katolickiego jak np. ustęp na samym początku, gdzie autor mówi o „zborach heretyckich“ i dalej jak np. na str 49 o religii, jako ochronie od obłąkania; na str 69 o wielkiej ilości świętych w Anglii dawniejszej i t. d.

Niewiele potrzebniejszem, było, w naszem przekonaniu, wystąpienie przeciwko „duchowi rewolucyi“ i t. d. (str 6). Wszelkie podobne wystąpienia szkodzą tylko bronionej przez autora sprawie: wypadało zawrzeć się w granicach ściśle naukowych, gdyż dzi-

siaj nauka nie jest ani katolicką, ani protestantką, ani monarchiczną, ani republikańską, a kto sądzi o naukowych pracach lub choćby tylko o wartości dowodzeń na mocy wyznania religijnego uczonych, ten nietylko daje dowód średniowiecznej nietolerancyi, lecz nadto wystawia się na śmieszność. Objawienie i religija, rzeczy to bez wątpienia wzniosłe i po nad nauką stojące, ale dla tego właśnie nie powinny być mieszane do rzeczy naukowych, do których sam rozum wystarcza, a kwestya duszy nawet tego nie potrzebuje.

Wypowiadając te słowa prawdy, musimy wszelako dodać że podobne uniesienia spotykamy u autora nieczęsto, prawie tylko w miejscach wymienionych i niejako nawiasowo, tak że nie naruszają one wartości jego rozumowań, przeważnie trzymających się gruntu naukowego.

Autor pisze stylem łatwym i naturalnym, w zupełności popularnym. Usterki języka są rzadkie np. „szermierzą" (zam. *szermują* str 13); „gwoli ulubionego przesądu „(zam. ulubionemu przesądowi str. 39) i „pierwiastka" (str 75); „ Feuerland (zam. Ziemia Ognista) na str 115 i t. d.

W pisowni tylko widzimy nietylko zastosowanie zbyt pośpiesznych znanych i w prasie warszawskiej nowości jak owo ym w 6 przypadkach nijak np. „niczym nie dali się przekonać" (str 13); „coby zgoła było niepodobnym" (str 43) i t. p. zbyt rozszerzoną zasadą kreskowania nawet w wyrazie „nié" (np. str 14 i 26) i ową niefortunną jotacyą, prowadzącą do takich dziwolągów jak np: „jistotnie, encyklopedyji, religiji" (np. na str 8 i wszędzie). *L. Sz. W.*

Broszurka:

O Księdzu Stanisławie Staszycu,

Napisał Stanisław Promyk.

Jest to książeczka niewielka bo składająca się tylko z 23 stronic druku, ale też za to kosztuje tylko kop: 2. Obejmuje ona treściwą wiadomość o żywocie i pracach tego zasłużonego męża przedstawioną w słowach jasnych, bez przesady, a zawsze z serdeczną miłości i tego którym się zajmuje, i tych dla których cała broszura napisaną została.

Pominąwszy rzecz samą, znaną wszystkim a tu bardzo dobrze ułożoną, sama myśl tak taniego wydawnictwa godna największego uznania. Kto wie czy to nie jest najpewniejsza droga wprowadzenia książki tam, gdzie dotąd zaledwie z nazwiska była znaną. Kopiejek trzydzieści nie każdy dać zechce, ale dwie kopiejki prędzej się znajdą i mniej się je ceni na tak więc tanią przynętę, nie jeden, mówiąc utartym stylem, złapie się a złapawszy raz przy drugiem kupnie będzie już mniej trudnym do wydatku i pomału tak się wciągnie, że książka stanie się dla niego potrzebą.

Panu Promykowi zatem należy się słuszne uznanie: nie wątpimy że znajdzie nasladowców.

Nakładem drzeworytni Warszawskiej, wyszła kopija obrazu H. Siemiradzkiego p. t. Zniszczenie Sodomy i Gomory, odbita z drzeworytu na papierze grubym, pięknym mogącym stanowić w oprawie ramowej piękną ozdobę mieszkania. Sama kompozycya bardzo trafnie ułożona; mury się walą, kolumny padają, burza wre w całej wściekłości, pioruny biją a lud strwożony ucieka na wszystkie strony ginąc w przepaściach i pod gruzem padających ruin. Kopija ta wierna oryginałowi z niezmierną starannością przygotowana, w najdrobniejszych szczegółach świadcząca chlubnie o talencie artystów drzeworytników, daje jasny dowód, jak u nas w ślad za malarstwem drzeworytnictwo wysoko stanęło i śmiało współzawodniczyć może z najbardziej sławionemi podobnemi pracami zagranicznemi. Cena egzemplarza kosztuje na miejscu kop: 50.

OBRAZY

na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

W WARSZAWIE.

Na obrazku p. Dukszyńskiej przedstawiającym *Dziewczynkę z królikiem*, mała złotowłosa dzieweczka trzyma białego królika i ulubione przezeń pożywienie, liście świeżej kapusty. Obrazek dość wdzięczny naturalny, świadczy o ciągłej pracy i staranności artystki.

Babie lato, p. Chełmońskiego jest kompozycyą dość niejasną. Większą część obrazu, zajmuje leżąca na polu pastuszka, dziewczyna wcale ładna i typowa, choć ją nielitościwie szpeci żółta chustka na głowie a i ułożenie jej mówiąc nawiasem, niezupełnie estetyczne — tło pochmurne, zdala bydło się żywi, strzeżone przez wiernego psa, a pastuszka zajęta chwytaniem białej nici pajęczyny, która jedynie tutaj usprawiedliwiać ma nazwę obrazu. Postać dziewczyny, jak mówiliśmy wypełnia cały pierwszy plan, na drugim zaś, szare chmury, niewyraźne zarysy trzody i psa— oto wszystko. Jak na wyobrażenie pory roku tak zwanej, jestto za mało. Gdyby nie pajęcze nici, widz łamałby sobie głowę nad treścią obrazu. A jednak „Babie lato" w naturze, ma i koloryt więdniejących liści bardzo urozmaicony, i wiejskie gosposie przy miądleniu konopi, i pastuszków przy ogniskach w polu — i grę światła, która właśnie tę porę nazwą taką darzy. To wszystko opuścił i pominął artysta— a w pracy jego czuć się daje brak studyów z natury i charakterystyki. Wolimy też spojrzeć na inny jego obraz:

Zadymka. Śnieżna zamieć wojuje po stepie; tumany mgławe zasypują drogę, konie z trudem wloką saneczki liche, na których jadą włościanie. Woźnica siedząc na koniu, kieruje pochodem a nieraz już widać przebywał podobną godzinę, bo otuliwszy się z fajeczką w ustach, pogania zmęczone rumaki, nie rozglądając się w około. I lepiej czyni: gdyż niedaleko ponury wilk wygląda na zdobycz, a stado ptastwa kraczącego ulatuje nad głową podróżnych. Młody wieśniak siedzący na sankach pochmurnie patrzy na śnieżne tumany, co im może wkrótce będą śmiertelnym całunem. Towarzysz jego, usiłuje wychyliwszy się między końmi rozpoznać drogę, lecz nie możemy się w żaden sposób zgodzić na postawę rażąco nie estetyczną w stosunku do konia, w jakiej mu kazał pozostać artysta.

Nad Dnieprem, p. Łosia. Wody błękitne, wzgórek, wiatraki, gromada ludzi i wozów do młyna przybyłych, straż kozacka, oto treść. Malowanie poprawne, lecz nadawa się pytanie, czy artysta *nad Dnieprem* nic bardziej malowniczego nie mógł wynaleźć? Wprawdzie w całej tej kompozycyi jest wiele życia, ale gdy w tytule miejscowość wymieniona; to domagamy się koniecznie szczegółów wyłącznie do niej należących. Tu tego nie ma, praca więc nie usprawiedliwia tytułu.

Przysięga Adama Śmigielskiego na towarzysza pancernego. Przedmiot wzięty z powieści Rzewuskiego. Układ obrazu zgodny z powieścią. Na rozkaz Dunikowskiego, jak tekst powiada, wyniesiono stolik pod drzewa, rozłożono księgę ewangelii, pod którą klęczący Adam złożył swój oręż, i z namaszczeniem powtarza rotę przysięgi czytaną przez księdza, a dwaj towarzysze pancerni skrzyżowawszy oręże nad jego głową, są świadkami uroczystego aktu, wraz z licznem otoczeniem rycerstwa i szlachty.

Rysunek wykończony, koloryt żywy, twarze szczęśliwie oddane, i postacie pełne życia. Zarzucilibyśmy nieco wyrazowi oczu przysięgającego, który wogóle, najmniej jest udatnym. Całość jednak dobre robi wrażenie, i rokuje nam zdolnego malarza historycznego.

Żelisław wojewoda Krakowski, obraz p. Wojciecha Gersona po powrocie z wyprawy Morawskiej przyjmowany przez Bolesława Krzywoustego. Treść wzięta z podania o herbie Belina, jakoby Żelisław w wyprawie owej utracił rękę prawą, lecz pomimo tego mężnie dotrwał w boju, za co Bolesław Krzywousty nagrodził go szczerozłotą ręką, i nadał mu herb w którym widzimy odciętą prawicę dzierżącą szablę. Obraz dość dużych rozmiarów, przedstawia chwilę powitania przez króla mężnego wojewody. Król powstaje, wyciąga doń w zapomnieniu dłoń, której sędziwy wódz uścisnąć nie może. Na twarzach obecnych widny podziw, szacunek i pewna ciekawość z jaką poglądają na zacnego męża. Rycerze z twarzami typowemi, dorodni, otaczają wojewodę i wiodąc łupy zdobyte na nieprzyjacielu, wyrazem twarzy okazują radość z powrotu w ojczyste progi. Między tłumem odznacza się starzec, głęboko zadumany, który może utracił w tej wyprawie następcę rodu swego. Udatnym równie typem jest żołnierz, przybrany w obcą zbroję, którego rysy wybitnie słowiańskie, cechują charakter dzielny w boju, lecz łagodny w pokoju.

Koloryt, perspektywa, nie pozostawiają nic do życzenia. Postać kronikarza, zapewnie Miechowity, spisującego dzieje tego faktu, dobrze obmyślona. W ogóle układ wyborny—najmniej może tylko szczęśliwie wyszła postać króla, gdzie radzibyśmy ujrzeć więcej wyrazu i godności.

Es.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Maryi S. Warsztat szewcki zupełnie kompletny kosztować będzie od 8 do 10 rs.

Pani Annie G. w Szpole. W depozycie redakcyi pozostało 9 rs. 39 kop. sprawunek jakiego Pani żąda będzie kosztować 12 rs. 25 kop. natychmiast po nadesłaniu potrzebnej kwoty sprawunek wyprawiony zostanie.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

Dodatek.

Opis do N. 12.

(Dokończenie).

Garnirunek na bocznych szwach jest z obrąbionego, prostego kawałka kaszmiru, mającego 230 cent. długości a 6 szerokości, który najpierw jest plisowany i zaprasowany, a następnie w 4-ry sute kontrafałdy ułożony i przy zaczęciu marszczek, 20 cent. wzdłuż, pomiędzy szew wpuszczony. Wyłożenie z czarnego jedwabnego rypsu dane wzdłuż przodów, ma po 10 cent. szerokości na staniku u dołu jest zwężone a w górze rozszerzone. Na plecach zaś, w sposób na ryc. 5 wskazany, naszyte przybranie ma u dołu 10 w górze 15, a przy zeszyciu na ramionach, po 6 cent. szerokości. Przy wcięciu w pasie, od powyższego garnirunku dodane są szarfy rypsowe, kaszmirem podszyte, mające po 120 cent długości, a 14 szerokości, które w sposób na ryc. 4 wskazany, podtrzymują podpięcie vêtement. z tyłu. Stojący kołnierz, w zęby wycięty, ma w środku $5\frac{1}{2}$ cent. wysokości. Przy rękawach oprócz rypsowego mankieta, dodane dwie plisowane falbanki kaszmirowe 7—9 cent. szer. takież 8 cent szerokie plisowanie, stanowi garnirunek u dołu vêtement. Guziki rypsowe służą do zapinania przodów.

N. 6. Kołnierz z koronki irladzkiej z krawatką i podgarnirowaniem z tiulu.

N. 7—8. Kokarda do włosów i do kołnierzyka.

Ze skośnego 8 cent. szerokiego kawałka kolorowej materyi, podszytej sztywnym muślinem, układa się podług załączonego wzoru, na ryc. 8 kokardę na kawałku sztywnego muslinu. Jeden w róg ścięty koniec oszywa się plisą z ciemniejszej materyi, drugi naszywa aksamitką w znacznie ciemniejszym cieniu, tego co krawatka koloru. Węzeł ułożony jest z aksamitu i ciemniejszej materyi. Kokardę do włosów łatwo będzie ułożyć podług ryc. 7 na sztywnym tiulu z wstążki rypsowej i przepiąć gałązką kwiatów.

N. 9—10. Kołnierzyk z krawatką i odpowiednie rękawki.

Wywinięte rogi stojącego, do krótkiej chusteczki przyszytego kołnierzyka, oszyte są koronką irlandzką robioną z tasiemeczki gładkiej i medalijonowej. Taka sama koronka zdobi mankiety i końce krawatki. Kołnierzyk i mankiety są z najcieńszej weby, na podwójnej podszewce. Podgarnirowania z cieniutkiego muślinu, mogą być plisowane albo drobno karbowane.

N. 11. Kokarda z tiulu i koronki naszywanej perełkami.

Kokardę mogącą służyć do kołnierzyka lub do włosów, układa się na foremce ze sztywnego muślinu, z kawałka czarnego koronkowego tiulu, mającego 90 cent. długości a 16 szerokości. Końce kokardy oszyte są wstawką $2\frac{1}{2}$ i marszczoną koronką 6 centymetrów szeroką. W górze nad wstawką dodana jest gładko koronka 4 cent. szeroka; przyszycie koronek i wstawki zdobią perełki szmelcowane, które także posiane są na tle tiulowem; przepięcie kokard stanowią liście ze szmelcowanych perełek, robione na druciku.

N. 12—13. Mała chusteczka haftowana i uczesanie włosów Deseń na chusteczkę na arkuszu dodatkowym do N. 7—8 Tygodnika mód.

Deseń i wielkość chusteczki opisaliśmy w N. 7 Tygodnika, dziś chcemy tylko wskazać sposób zapinania na szyi. Ryc. 13 przedstawia chusteczkę zapiętą z tyłu broszą stalową, w miejsce której można użyć kokardy z kolorowej wstążki lub gałązki kwiatów. Na ryc. 13 widziemy tę samą chusteczkę z przodu. W miejce haftu na batyście można podług tej samej formy zrobić chusteczkę z czarnego jedwabnego tiulu, oszytą koronką lub tiulem cerowanym i ozdobioną perełkami stalowemi, lub szmelcowanemi albo pailetkami. Zwracamy także uwagę na dwa modne uczesania włosów.

N. 14—15. Ubranie głowy w pukle.

Ryc. 14—15. przedstawia z przodu i z tyłu głowę ubraną suto w pukle; z przodu odebrane, trochę karbowane włosy, podczesują się w górę i układają na wałku przypiętym ku środkowi głowy. Końce włosów przednich i włosy odczesane z tyłu, układa się w pukle na wierzchu głowy. Gruby szynion skręcony, przypina się z tyłu i spuszcza długo na szyję.

N. 16. Krawatka ze wstawkami koronkowemi.

Prosto ukrojona i ostębnowana krawatka muślinowa, ozdobiona jest wstawkami i koronką z tasiemeczki medaljonowej; brzegi wstawki i koronki oszyte są wązkim brzeżkiem koronkowym, przewleczonym wąziutką, czarną aksamitką.

N. 17. Czepeczek z denkiem z koronki irlandzkiej ubrany wstążką i kwiatami.

Kółeczko ze sztywnego tiulu, mające 6 i pół cent. średnicy, cokolwiek z brzegu nitką przymarszczone dla nadania mu trochę wypukłości, i w koło otoczone wtsążką na agremanie, stanowi foremkę zgrabnego czepeczka, oszytego w koło 5 cent. szer., w płytkie kontrafałdy ułożoną falbanką, z karbowanej lub bardzo drobno plisowanej krepy, nad którą przewija się 5 cent. szer. różową wstążkę. Z takiej samej wstążki upięte są kokardy i dodane końce, polne róże i drobne białe kwiatki, dopełniają milutkie przystrojenie czepeczka.

N. 18—19. Strojne ubranie z potrójną fartuszkową tuniką i trenem ułożonym w fałdy.

Ryc. 18 przedstawia suknią z ciemno szafirowego jedwabnego rypsu i z matelassé, a ryc. 19 z czarnego feille i aksamitu obydwie suknie są w jednostajnym kolorze, tylko wypustki i pliski mogą być odmienne, lecz to już zależy od gustu. Tunika w róg ścięta, z przodu 70 cent. długa, z boków do 45 cent. przymarszczona, jak na rycinie 19 albo gładko do trenu przyszyta, jak na ryc. 18; składa się z trzech, oddzielnych muślinem podszytych części, jedna na drugą zachodzących. Spódnica ryc. 18 jest w koło oszyta wolantem, zakończonym u dołu plisowaniem który przy trenie i na środku z przodu ma 18 cent. szerokości, a do boków rozszerza się stopniowo do 35 centymetrów. Na przednim brycie nad wolantem, naszyte są wzdłuż bufki do 30 cent. długości dochodzące. Tylne bryty w górze w kilkorakie kontrafdy ściśle ułożone są od spodu do 68 cent. długości, kilka razy mocno przeszyte. Te fałdy i rozporek przy zapięciu sukni z tyłu przykrywa podwójny, do środka złożony kawałek, materyi, mający 28 cent. szerokości, w górze cokolwiek przyfałdowany, do tasiemki przyszyty i do paska spódnicy przypięty, którego dolny koniec kryje się pod przepięciem z materyi, zakończonem z boku szarfami z matelassé. Szarfy mają 28 cent. szerokości i są lekką czarną materyją podszyte. Wypustki z grubym sznurem i suta w kwasty wiązana frendzla, służy do oszycia tuniki i szarf. Spódnica ryc. 19, garnirowana jest plisowaniem, a tunika aksamitna oszyta rypsowemi plisami, rypsowe mankiety przy aksamitnych rękawach mają 18 cent. środkowej a 10 brzeżnej szerokości. Cztery cent. szeroki, stojący kołnierzyk ma rogi odwinięte podszyte aksamitem.



N. 2. Vêtement. Plecy do ryc. 3.



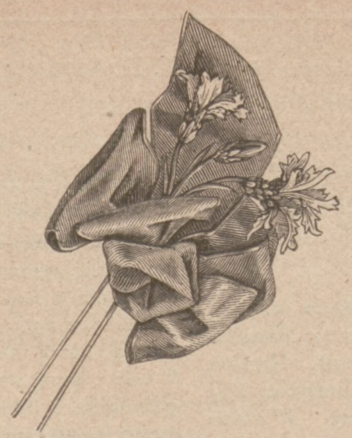
N. 1. Kołnierzyk z krawatką.



N. 3. Vêtement. Przód do ryc. 2.



N. 4. Kołnierzyk koronkowy z riuszą i krawatką.



N. 5. Kokarda do włosów.



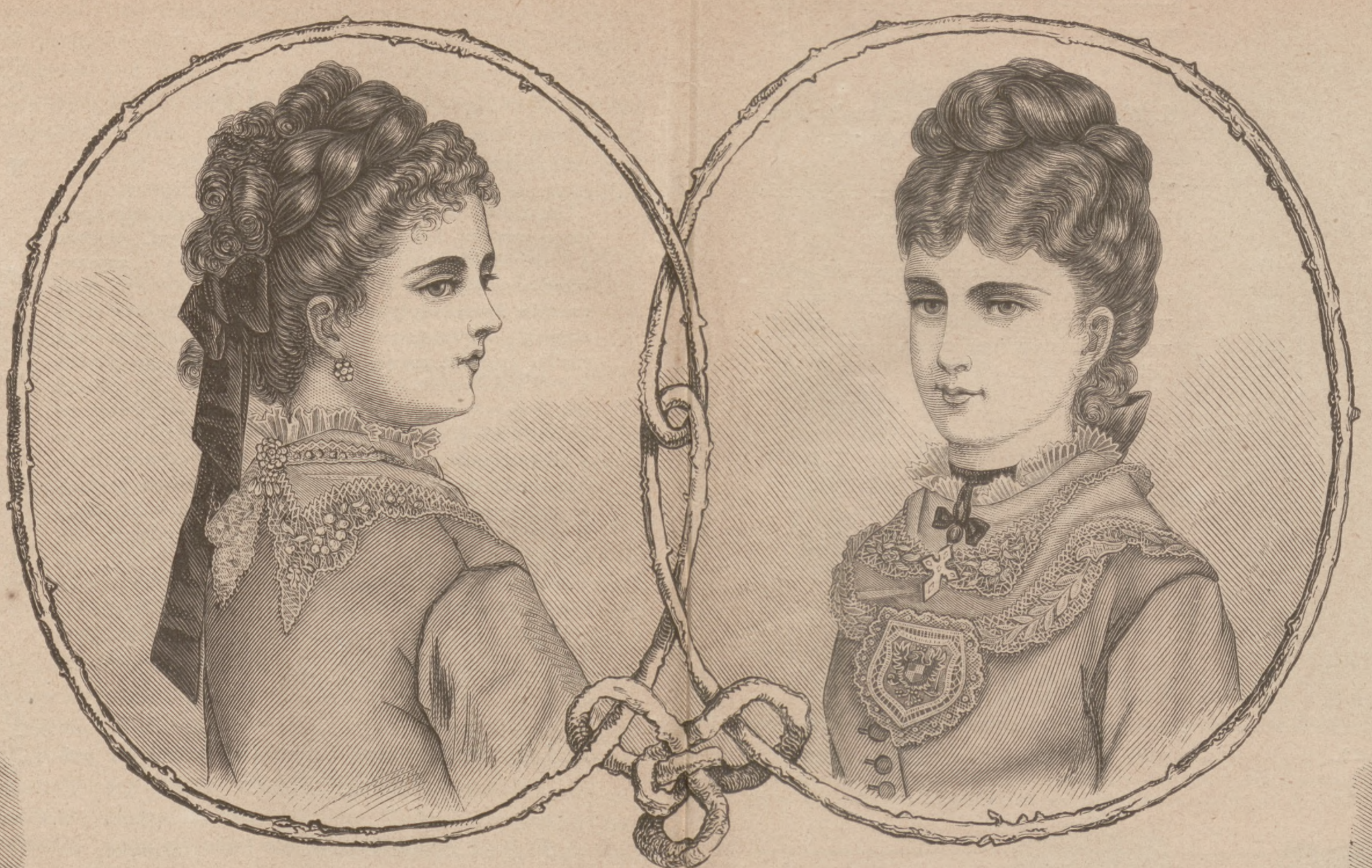
N. 6. Kokarda do kołnierzyka.

N. 20. Ubranie z chusteczkowym kołnierzem.

Przedni bryt, gładkiej aksamitnej sukni, jest z rypsu cały przemarszczony w bufy przedzielane aksamitnemi pliskami, z boku przypięta szeroka rypsowa szarfa. Aksamitny stanik i rękawy oszyte pliskami i wypustkami z rypsu; uta kreza i mankiety są z koronki. Chusteczkowy kołnierz z białej irlandzkiej koronki o wiele strojność sukni podnosi, może on być wązki w środku a stopniowo rozszerzany do dołu, albo też szeroki z tyłu i na ramionach, a z przodu zwężony odpowiednio do podłużnego wykroju stanika.



N. 12. Uczesanie w pukle przód do ryc. 13.



N. 10—11. Chusteczka na szyję i uczesanie głowy.



N. 14. Krawatka z koronką.



N. 18. Ubranie z kołnierzykiem koronkowym.

N. 21. Suknia z plisowanym garnirunkiem.

Krój stanika jak do ryc. 7 i 8 w N. 6 Tygodnika.

Plisowania mają dziś pierwszeństwo przed wszelkim innym garnirunkiem; do strojniejszych sukien wełnianych dają się z materyi jedwabnej, w odmiennym albo takim samym cieniu; suknie jedwabne strojnie bardzo ubiera plisowanie z atłasu Na modelu plisowanie przy spódnicy baskinie i wykroju szyi, jest przez środek dwa razy przestębnowane, przy rękawach naszyte w dwie strony i przedzielone plisą z wypustką. Guziki do zapięcia stanika są pokryte materyją.

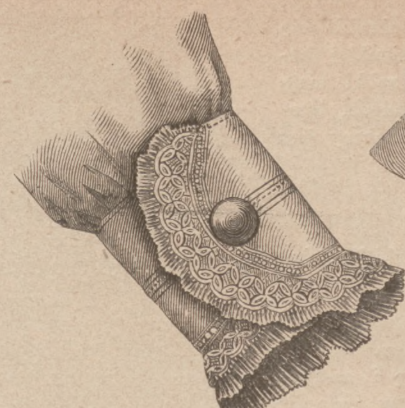
N. 22. Serweta z ząbków z plecionki.

Materyjał; ząbki 1 i pół cent. szerokie i bawełna kordonkowa.

Taka serweta lub kapa może być odrobiona z samych ząbków z tasiemeczki, albo wielokrotnie urozmaicona przez dodanie rozet szydełkowych albo z koronkowej tasiemeczki. Na zmniejszonej ryc. 22 w środku umieszczony jest kwadrat z 16 gwiazdek zeszytych z ząbków, i połączonych ze sobą bawełną kordonkową. Kwadrat oszyty jest 4 razy ząbkami, dalej idzie jeden rząd gwiazdek i znów 4 rzędy ząbków, brzeg obrobiony słupkami i pow. o. szydełkowemi, do których przywiązuje się trendzię. W miejsce rzędów ząbków można dawać torsadkę, robioną na widełkach, naszytą prosto lub układaną w zęby, a gwiazki z tasiemeczki zastąpić szydełkowemi, lub z tasiemeczki koronkowej, których wzór załączamy na ryc. 23—24. Z podobnych gwiazdek i ząbków można z łatwością ułożyć dużą serwetę luk kapy na łóżka.



N. 16—17. Ubranie wizytowe z potrójną tuniką fartuszkową i kontrafałdą z trenem.





N. 7. Kołnierzyk z koronką plisowaniem i krawatką. Patrz ryc. 8.

N. 8. Rękawek z irlandzką koronką i plisowaniem do ryc. 7.



N. 9. Kokarda tiulowa z koronką i perełkami.



N. 13. Uczesanie w pukle. Patrz ryc. 12.

N. 23. Szydełkowe rozety do serwetki albo kapy.

Materyjał: bawełna estramadura N. 6 1/2 bawełna na szpulkach N. 60.

Gwiazdy zaczynają się z bawełny estramadura 12 oczkami łańcuszka, złączonemi w kółko, koło którego dodaje się 24 listków, każden z 15 o. łańcuszka, przyrobionych do



N. 15. Ubranko z koronki, kwiatów i wstążki.

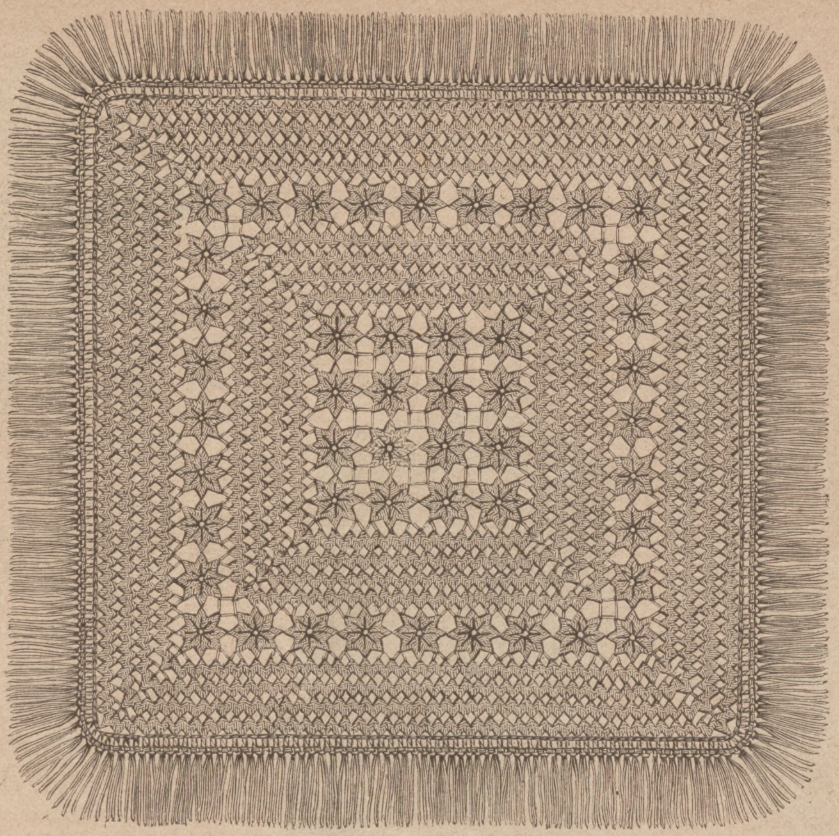


N. 19. Suknia przybrana plisowaniem.

kółka 1 o. ścisłem. Te listki obrabia się następnie dwa razy, ząbkami z cienkiej bawełny, w pierwszem obrobieniu ząbki mają po 6, w drugiem po 7 o. powietrznych. Sposób łączenia gwiazd, wyraźnie wskazany jest na ryc. 23.

N. 24. Rozety z tasiemeczki koronkowej.

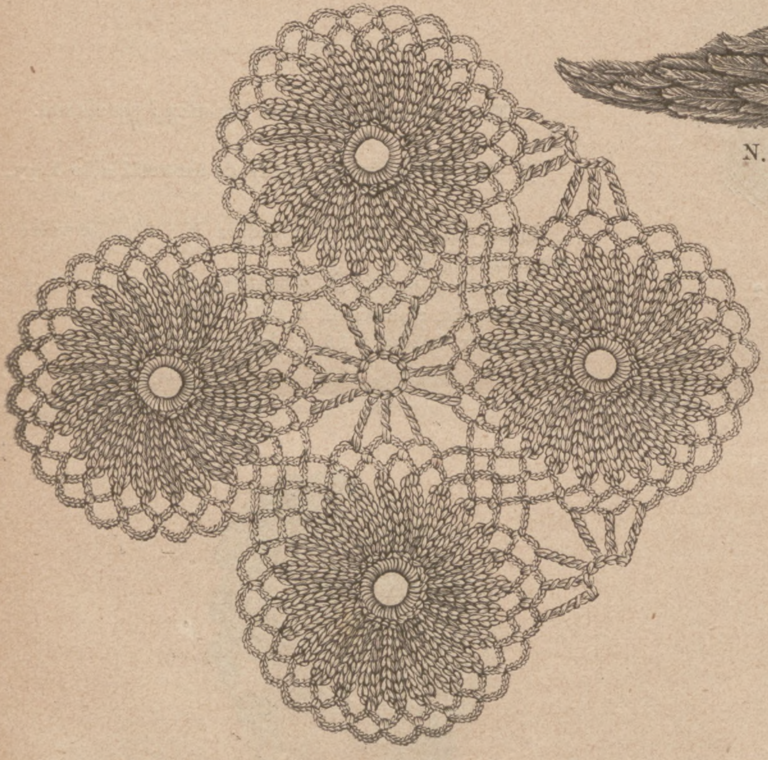
Gładka tasiemeczka koronkowa z brzegiem przezroczystym, układa się i zaszywa najpierw w zęby, a następnie w gwiazdy; kratka z nici koronkowych N. 40 zapełnia środki gwiazd i łączy jedne z drugiemi. Rodzaje użytych kratek wyraźnie wskazane są na próbce naturalnej wielkości.



N. 20. Serwetka z plecioneczki w ząbki. Patrz ryc. 22.



N. 23. Pióro do zmiatania kurzu.



N. 21. Gwiazdka szydełkowa do serwetek i t. p.

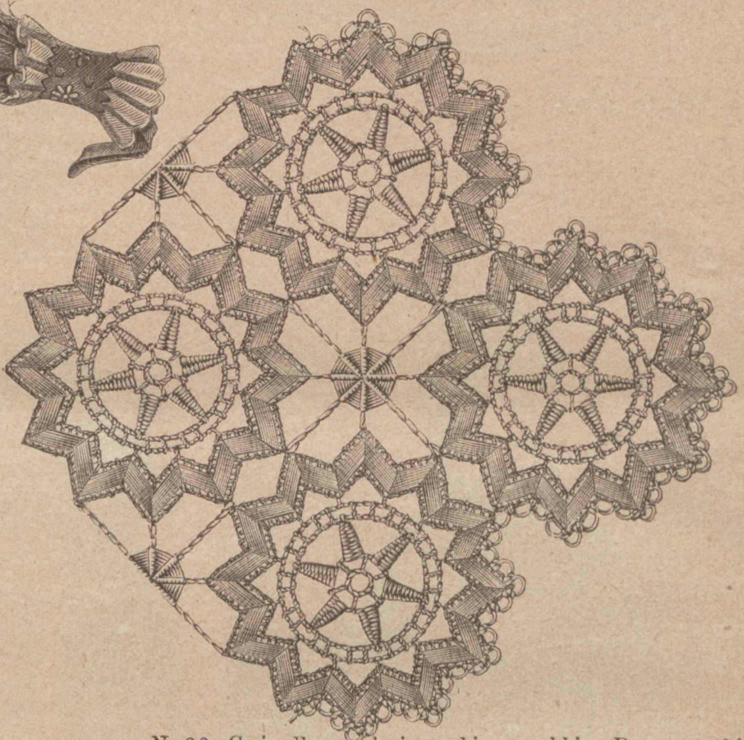
N. 25. Skrzydło do zmiatania kurzu.

Osadę dużego gęsiego skrzydła, owija się i przedłuża wysłaniem z waty do 3 centymetrów; na watę daje się w koło fałdowaną materyję czarną, którą w środku pokrywa się paskiem sukna, lub aksamitu haftowanego.

N. 26. Frendzla kręcona z nagłówkiem. Zarzucenie i wiązanie w węzły.

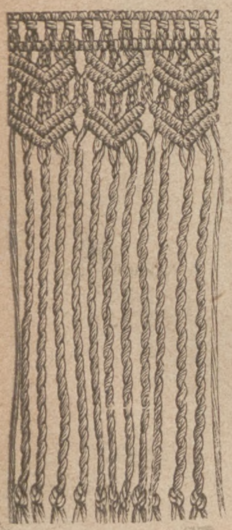
N. 27. Frendzla z nagłówkiem. Zarzucenie i wiązanie w węzły.

W N. 8 Tygodnika mód na ryc. 81 opisywaliśmy sposób wiązania i przekładania nitek w tego rodzaju frendzlach, podług tamtych wskazówek łatwo dojść można roboty frendzli dziś podanych.

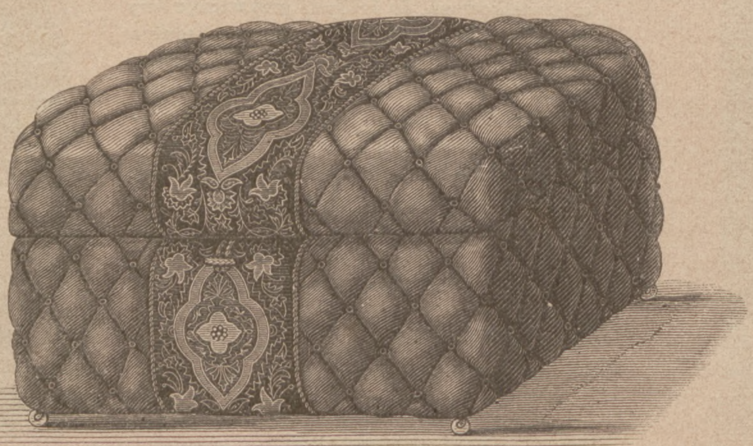


N. 22. Gwiazdka z plecioneczki w ząbki. Do serwetki ryc. 20.

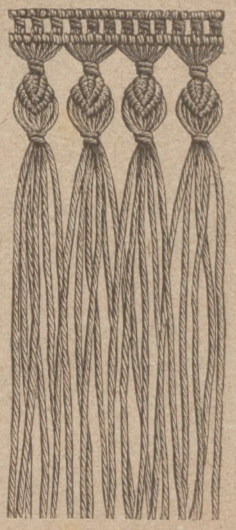
N. 28. Taboret ze skrzyneczką. Opis przy deseniu ryciny 14, w N. 11 Tygodnika



N. 24. Kręcona, frendzla z nagłówkiem.



N. 26. Taboret. Deseń patrz ryc. 14 w N. 11.



N. 25. Frendzla z nagłówkiem wiązanym w węzły.